WTOREK

DZIŚ NOWA POWIEŚĆ

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 82 8 PAŹDZIERNIKA 1974 CENA 1.50 ZŁ

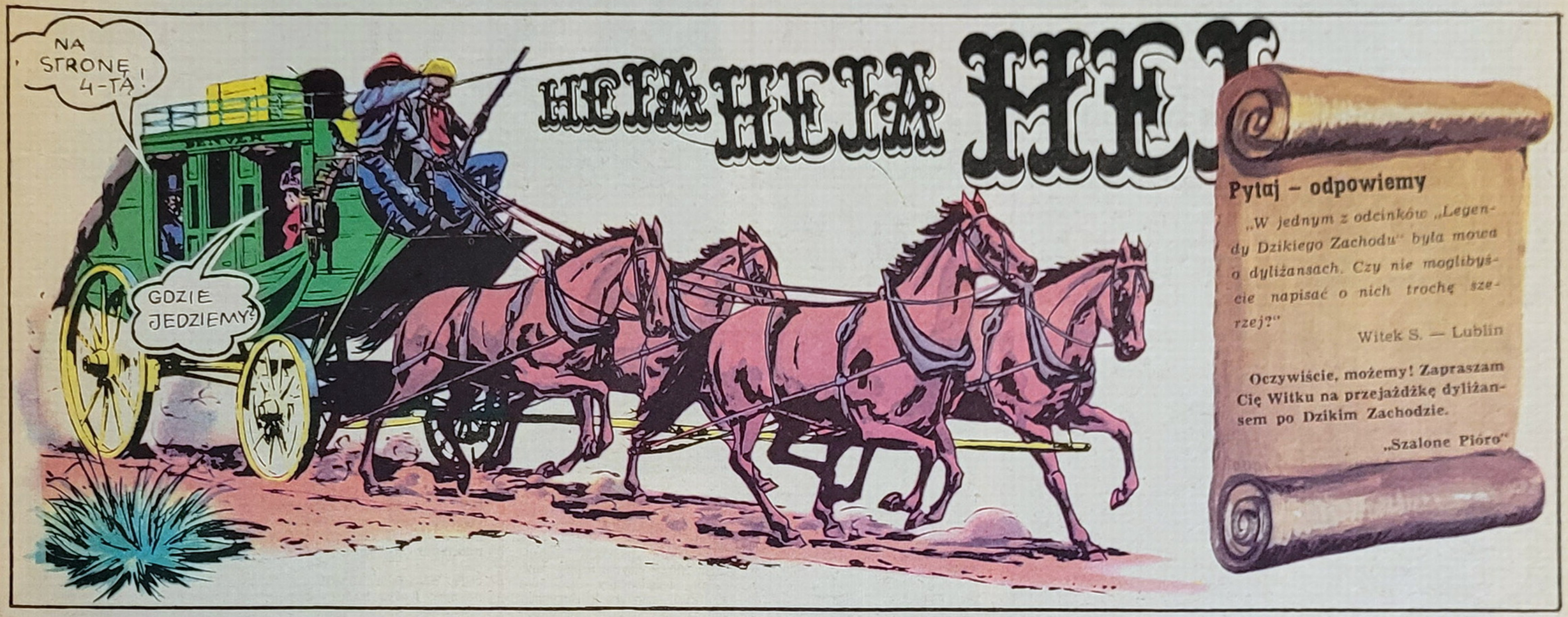

Pytaj – odpowiemy

„W jednym z odcinków „Legendy Dzikiego Zachodu" była mowa o dyliżansach. Czy nie moglibyście napisać o nich trochę szerzej?"

Witek S. — Lublin

Oczywiście, możemy! Zapraszamy Cię Witku na przejażdżkę dyliżansem po Dzikim Zachodzie.

„Szalone Pióro"

START 74

● Łódzcy harcerze rozpoczęli już nowy rok pracy uroczystą inauguracją, która odbyła się 14 września. Następnego dnia wszyscy spotkali się na zorganizowanym przez Komendę Hufca zlazie „Azymut — 30", zorganizowanym w podłódzkich lasach. Niezapomnianych wrażeń i atrakcji było moc.

● Harcerki i harcerze planują jeszcze zorganizowanie w najbliższym czasie wielkiego biegu terenowego, marszu na orientację i innych konkurencji zręcznościowych. Będzie też coś specjalnego dla zuchów — wesoła olimpiada!

● Wszyscy bardzo starannie porządkują i uzupełniają wakacyjne wpisy do kronik, porządkują harcówki, wzbogacając je obozowymi trofeami i układają roczne plany działalności poszczególnych drużyn. Przygotowują się również do udziału w „Manewrach zwycięstwa", w których to po raz pierwszy będą uczestniczyć harcerze ze szkół podstawowych.

(HSI)

TATERNICY zdobyli... komin!

Groźna obręcz zdjęta! Sukces łódzkich studentów

ŁODŹ. Na 50-metrowej wysokości kominie Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Marko" im. Marii Konopnickiej w Łodzi pęknięta zwisająca obręcz wagi 40 kg zagrażała pracownikom fabryki.

Usunięcia zużytego przedmiotu nie mogli się podjąć strażacy, którzy dysponowali sprzętem umożliwiającym działanie tylko do wysokości 30 m, a sposób zdjęcia groźnej obręczy proponowany przez lotników, okazał się zbyt skomplikowany i kosztowny.

Niezwykłego wyczynu dokonała więc 4-osobowa grupa łódzkich studentów — członków Akademickiego Klubu Górskiego SZSP. Zaproponowali oni wykonanie tego zadania przy użyciu sprzętu służącego do wspinaczek wysokogórskich. Przedsięwzięcie okazało się tym trudniejsze, że stan techniczny komina był bardzo zły.

Dziesięć godzin trwały zmagania dzielnej czwórki z tą najbardziej pionową, okrągłą, chwiejną ścianą. Operacja udała się. 40-kilogramowe żelastwo runęło na dziedziniec fabryczny, nie wyrządzając żadnych szkód. Pracę tę łódzcy studenci wykonali w czynie społecznym, korzystając wyłącznie z osobistego sprzętu.

(PAP — bis)

Rajski ogród

Furtka w żelaznym ogrodzeniu ustępuje pod naciśnięciem ręki. Przede mną wzgórek, z lewej rozległy trawnik i wyasfaltowana alejka. Wdrapuję się na owe wzgórze i tu — niespodzianka! Drugi, słoneczny stok wzgórza ustrojony jest ławeczkami, przed którymi wznosi się scena. Ten mikroskopijny amfiteatr wyłożony blokami piaskowca, sprawia wrażenie zabaweczki, bo też i ku zabawie najmłodszych mieszkańców osiedla służy. Za amfiteatrem alejki, wiadukt, na placyku karuzela, drabinki i zjeżdżalnia dla maluchów. Słońce, kapryśne tego roku, dziś przygrzewa, więc nie od razu dostrzegam brodzik-basenik, tak jest oblegany przez najmłodszych, jak i tych, którzy z całą pewnością ukończyli już klasy ósme.

Rowery mkną wyznaczonymi alejkami — kiedy podchodzę bliżej okazuje się, że ów wiadukt stanowi jeden z elementów miasteczka ruchu drogowego, ucząc prawidłowego podjazdu pod górkę.

Plac do jazdy na wrotkach, boiska do gry w piłkę, ogromne tablice, na których można bazgrać i rysować dowoli, niezależnie od wzrostu, bo usytuowane są tuż nad ziemią.

Długi kopiec porośnięty trawą, kryjący w swoim wnętrzu tunel, jak i betonowa rura pomalowana w pasy, w którą może wejść młody człowiek lekko schyliwszy głowę — również służą do zabawy.

Gwarno, rojno i rozpiętość wieku spora — w piaskownicach maluchy, przy stołach ping-pongowych nastolatki.

Wszystkie te urządzenia znajdują się w otoczeniu dobrze utrzymanych trawników i klombów z różami.

Tablica na niewielkim piętrowym budynku głosi: „Ogródek Jordanowski, wykonany przez Zakład Remontowo-Budowlanej Państwowej Spółdzielni Mieszkaniowej »Przymorze« przy współudziale czynów społecznych mieszkańców Osiedla. Ogrodzenie wykonane z funduszów przekazanych przez PZU w Gdańsku".

OCZKO W GŁOWIE

Ogródek jest oczkiem w głowie Administracji nr 2 — dowiaduję się od pań, które sprawują dziś nadzór nad młodzieżą. Pani **Julia**

Ciąg dalszy na str. 4

● **550 EKRANÓW-GABLOT FILATELISTYCZNYCH!**

● **204 KOLEKCJE ZNACZKÓW WARTOŚCI PÓŁTORA MILIONA ZŁ!**

● **150 WYSTAWCÓW-KOLEKCJONERÓW Z MO!**

● **ELEKTRONICZNY SYSTEM OCHRONY ZBIORÓW!**

TAKIEJ WYSTAWY JESZCZE NIE BYŁO!

7 października br. minęła 30 rocznica powołania Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Z tej okazji od 4 do 13 października w godzinach 11–18 czynna jest w Domu Artysty Plastyka w Warszawie przy ul. Mazowieckiej 11a WYSTAWA FILATELISTYCZNA „XXX LAT W SŁUŻBIE LUDOWEJ OJCZYZNY".

Jest to jedna z największych i najciekawszych tego rodzaju wystaw w Polsce. Jej twórcami są milicjanci i ich rodziny. Eksponowane są również zbiory służb milicyjnych z CSRS, NRD, WRL i ZSRR. 57 kolekcji to **zbiory nowe, nigdzie dotychczas nie eksponowane.**

Dalsze informacje wewnątrz numeru.

DZIŚ PRZEDSTAWIAMY:

AUSTRIA

Od 30 września do 3 października br. przebywał w Austrii z oficjalną wizytą premier Piotr Jaroszewicz. Była to rewizyta za ubiegłoroczny pobyt w Polsce kanclerza Austrii dr Bruno Kreisky'ego.

Współpraca gospodarcza między Polską a Austrią ma już swoje tradycje, zwłaszcza we wspólnych przedsięwzięciach na rynkach krajów Trzeciego Świata. Wspólnie z koncernem Vöest-Alpine budujemy rafinerię ropy w Kongo. Ta sama firma dostarczała elementów do budowy Płockiej Petrochemii. Austriackie zakłady chemiczne opierają się na polskiej siarce. Od 1 stycznia 1975 r. wejdzie w życie umowa handlowa, która sprzyjać będzie szybszemu rozwojowi stosunków gospodarczych między oboma krajami.

Austria to republika związkowa, leżąca w środkowej Europie, w skład której wchodzi 9 samodzielnych krajów. Głową państwa jest prezydent, wybrany w wyborach powszechnych na 6 lat. Władza ustawodawcza należy do Zgromadzenia Związkowego o 4-letniej kadencji. Władzę wykonawczą sprawuje powoływany przez prezydenta rząd, na czele którego stoi kanclerz. Obecnie funkcję głowy państwa oraz kanclerza pełni Bruno Kreisky.

Austria jest rozwiniętym gospodarczo krajem, w którym udział przemysłu i budownictwa w tworzeniu dochodu narodowego wynosi 49,5%; rolnictwa tylko 7%. Głównymi bogactwami naturalnymi są: ruda żelaza, ropa naftowa, gaz ziemny, węgiel brunatny. Do najważniejszej gałęzi przemysłu przetwórczego należą: hutnictwo żelaza i aluminium, przetwórstwo ropy oraz przemysł chemiczny, maszynowy i elektrotechniczny. Górzyste położenie Austrii stanowi również poważne źródło dochodu, i to nie tylko z turystyki. Górskie rzeki są źródłem energii — 60% energii elektrycznej w tym kraju jest wytwarzane przez elektrownie wodne.

Obszar: 83 849 km kw.; ludność: 7 490; stolica Wiedeń; język narodowy: niemiecki; jednostka monetarna: 1 szyling = 100 groszy.

(bz)

ZŁOTY WIEK?

Tak poeci mówią o wieku starczym. Ale czy rzeczywiście ten okres ludzkiego życia należy do najbardziej „złotych"? Czy naprawdę sprzyja spokojnym rozmyślaniom, rozwijaniu zainteresowań — na które przez całe życie nie było czasu — i odpoczynkowi po trudach kilkudziesięciu intensywnych lat?

NAJGORSZĄ śmiercią dla człowieka — pisał Ernest Hemingway — jest strata tego, co stanowi ośrodek jego życia. Stan spoczynku jest najwstrętniejszym słowem mowy ludzkiej. Wejście w stan spoczynku, to opuszczenie pracy, tej pracy, która czyni z nas to, czym jesteśmy.

Arnold Toynbee, światowej sławy autor książki „Człowiek wobec śmierci" i D. B. Bromley, który napisał „Psychologię starzenia się", potwierdzają zdanie znanego pisarza. Starość nie tylko z powodu usterek w funkcjonowaniu organizmu, ale także ze względów psychicznych jest okresem trudnym.

DLACZEGO SIĘ STARZEJEMY?

Tego, niestety, dokładnie nikt nie wie. Nie wiadomo na pewno, czy starzenie zależy od zmian, jakie zachodzą w tkance łącznej, kwasach nukleinowych, hormonach i enzymach, czy też może od szkodliwego promieniowania kosmicznego — bo są i takie teorie.

W czasie starzenia się nie ma równowagi między obumieraniem komórek a zdolnością ich regenacji. Niektórzy uczeni twierdzą, że jest to spowodowane skutkami wcześniej przebytych chorób, wypadków, niedomagań, które kumulują się i w pewnym momencie przeważają szalę wytrzymałości organizmu. Jeszcze inni są zwolennikami tzw. „zegara genetycznego", który miałby jakoby działać jak rodzaj bomby zegarowej. Mamy podobno w naszych genach odziedziczoną po przodkach, zaprogramowaną długość życia. W którymś momencie ów zegar włącza się i... odmierza czas krytyczny, nazywany starością — aż do śmierci.

LEK NA MŁODOŚĆ

Co jakiś czas obiega świat rewelacyjna wiadomość, że wynaleziono oto niezawodny lek przeciw starzeniu się.

Od 1931 r. słynny jest w świecie Szwajcar, Paul Niehans, twórca terapii komórkowej, polegającej na zastrzykach z żywych tkanek płodu owcy. Temu leczeniu poddawał się nawet papież Pius XII. Ale oficjalna medycyna odnosi się do Kliniki Niehansa dosyć chłodno i nie uznaje różnorodnych, jakoby cudownych lekarstw, których przybywa z roku na rok.

Jest wreszcie sulfadianizyna, kawaina (z rośliny kavakava) pszczele mleczko i przesławny korzeń żeń-szeń.

Geriatrzy (od: geriatria — nauka o leczeniu chorób wieku starczego) cenią jednak przede wszystkim witaminy. W znakomitym Instytucie Geriatrii prof. Czebotarewa w Kijowie stawia się pacjentów na nogi m. in. za pomocą kompleksu witamin. Jednakże wszelkie leki uchodzą za środek pomocniczy. Leczy, regeneruje organizm i przedłuża życie — właściwe odżywianie; zaleca się przy tym okresowe posty. Odmłodzenie przynosi też gimnastyka.

Warszawski geriatra dr Bernard Bielecki, założyciel pierwszej w Polsce poradni geriatrycznej, prowadzi grupę pacjentów (średnia wieku: 74 lata), których wiek biologiczny „cofnął się" o 5—6 lat po przeszło 5-letniej kuracji. **„Nasi pacjenci** — powiada — **ćwiczą fantastycznie. O takiej sprawności ruchowej nie śniło się wielu młodym ludziom. I żaden z nich nie leżał w szpitalu, przeciwnie, odzyskują zdolność do samodzielnego życia".**

Najsłynniejszym zaś ośrodkiem geriatrycznym jest klinika prof. Any Aslan w Bukareszcie, gdzie leczy się przy pomocy fenomenalnego leku Gerovital H3 oraz różnorodnych zabiegów, głównie balneologicznych. Regeneracja sił jest podobno ogromna.

Jak więc widać — istnieją sposoby na wstrzymanie fizycznego starzenia się. Czy można jednak powstrzymać starzenie psychiczne, zwłaszcza gdy obecne zmiany obyczajowe szczególnie temu sprzyjają?

Bo dawniej, w tradycyjnej rodzinie, która skupiała w jednym pomieszczeniu obok dzieci i rodziców, również dziadków, osoby stare nie czuły się tak samotnie, jak w wieku XX. Obyczaj nakładał na nie obowiązek zajmowania się dziećmi, pomagania w lżejszych pracach domowych, poza tym miały one ważny, decydujący głos we wszelkich sprawach dotyczących rodziny, czuły się przydatne — co dobrze wpływa na samopoczucie. Rodzina się jednak zmieniła...

„Starzy ludzie w obecnym świecie — pisze Arnold Toynbee — **są samotni, gdyż pozbawiono ich należnego im z racji przynależności do rodziny miejsca w domu, który daje dach nad głową ludziom w średnim wieku i dzieciom. Skazani na korzystanie z własnych środków, starcy tracą kontakt ze światem, a tym samym z pokoleniami, które reprezentują teraźniejszość i przyszłość. Starzy są samotni nawet wtedy, kiedy mają obok siebie współmałżonka. Są jeszcze bardziej samotni, jeśli nie znaleźli sobie w życiu pary. Najbardziej samotni zaś są wtedy, gdy drugi współmałżonek nie żyje".**

STAROŚĆ W POLSCE

Średnia wieku w Polsce stopniowo się wydłuża. Mężczyźni żyją obecnie przeciętnie ok. 67 lat, a kobiety — ok. 73. Mamy 4,5 mln obywateli powyżej „sześćdziesiątki", a w roku 1985 będzie ich już 6 mln, w tym 0,5 mln osób powyżej 80 lat.

Pionier polskiej geriatrii, prof. Edward Rosset pisze w swojej książce „Ludzie starzy": — **„Troska o człowieka starego jest naturalnym i nieodzownym elementem humanizmu socjalistycznego".**

Tę zasadę realizuje się w naszym kraju bardzo konsekwentnie, zwłaszcza w ostatnich latach. Ludzie starzy mają więc swojego opiekuna w postaci Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów. Niedawno Sejm PRL powziął kolejną uchwałę o podwyższeniu rent i emerytur. Emeryci mogą ponadto korzystać z wszelkich świadczeń socjalnych zakładów, w których pracowali, np. z możliwości wyjazdu na urlop do zakładowego ośrodka.

W kraju działa ponad setka Domów Spokojnej Starości. (Ta nazwa już od kilku lat stała się obowiązująca). Są położone zwykle w ładnej okolicy, z dala od zgiełku wielkiego miasta. Mieszkają w nich starcy pozbawieni opieki rodzinnej, samotni, nie mogący znaleźć porozumienia z bliskimi. Pozostając pod fachową opieką lekarską, wyżywają się najczęściej w działalności kulturalnej: malują, haftują, dyskutują, tworzą nawet własne scenki dramatyczne.

Nie dla wszystkich chętnych są jednak miejsca w tych domach. Jest ich jeszcze wciąż za mało. Ale istnieje w kraju potężna armia opiekunów społecznych (65 tys. osób), których podstawowym zadaniem obok doraźnej pomocy jest rozpoznawanie potrzeb materialnych i socjalnych mieszkańców swego rejonu, głównie ludzi starych, i powiadamianie o tym instytucji państwowych i społecznych, zajmujących się sprawami opieki.

Poza tym w zeszłym roku zapadła rządowa decyzja o budowie Centrum Gerontologii, które będzie ośrodkiem koordynującym działalność naukową, zapobiegawczo-leczniczą i socjalną w stosunku do ludzi starych w Polsce.

A MŁODZI?

— Cóż niby to nas obchodzi — zdają się myśleć niektórzy. Tymczasem poczynając od tego, że — jak mówi dr Bernard Bielecki — „na schorowanej i niehigienicznie przeżytej młodości nie można budować zdrowej i sprawnej starości" — wszystko to nasza sprawa.

W wiek produkcyjny wkraczają roczniki wychowane po wojnie, pełne sił i energii. Jednocześnie nasi rodzice i dziadkowie żyją dłużej. Wiele im zawdzięczamy. Powinniśmy więc chyba zastanowić się nad naszym stosunkiem do nich, do tych naszych najbliższych, którzy przeżywają akurat problemy, o jakich tu mówiliśmy.

Bowiem „człowiekowi staremu — pisze D. B. Bromley — potrzebne jest ciepło młodszych generacji, zainteresowanie jego sprawami. Potrzebny jest mu nowy sens życia. Cały czas żył przecież dla tych, którzy się z niego zrodzili. Ma więc prawo oczekiwać od nich nie tylko pomocy, ale i stawiania nowych celów, by czuł się przydatny, by jego psychika pozostawała w równowadze, by rzeczywiście wiek złoty był złotym".

Niedawno Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej podjęła się niełatwego zadania organizacyjnej współpracy z Polskim Związkiem Emerytów, Rencistów i Inwalidów. Młodzież zadeklarowała gotowość zapraszania członków Związku na bezpłatne wczasy przez nią organizowane.

Znany jest też powszechnie tradycyjnie już opiekuńczy stosunek harcerzy do ludzi starych. Wiele drużyn systematycznie pomaga im w pracach domowych, zaprasza na swoje zbiórki. Żadna jednak akcyjność nie zastąpi zwykłego ludzkiego ciepła na co dzień. Pamiętajmy o tym, bo „życie szybko mija...".

WOJCIECH PIELECKI

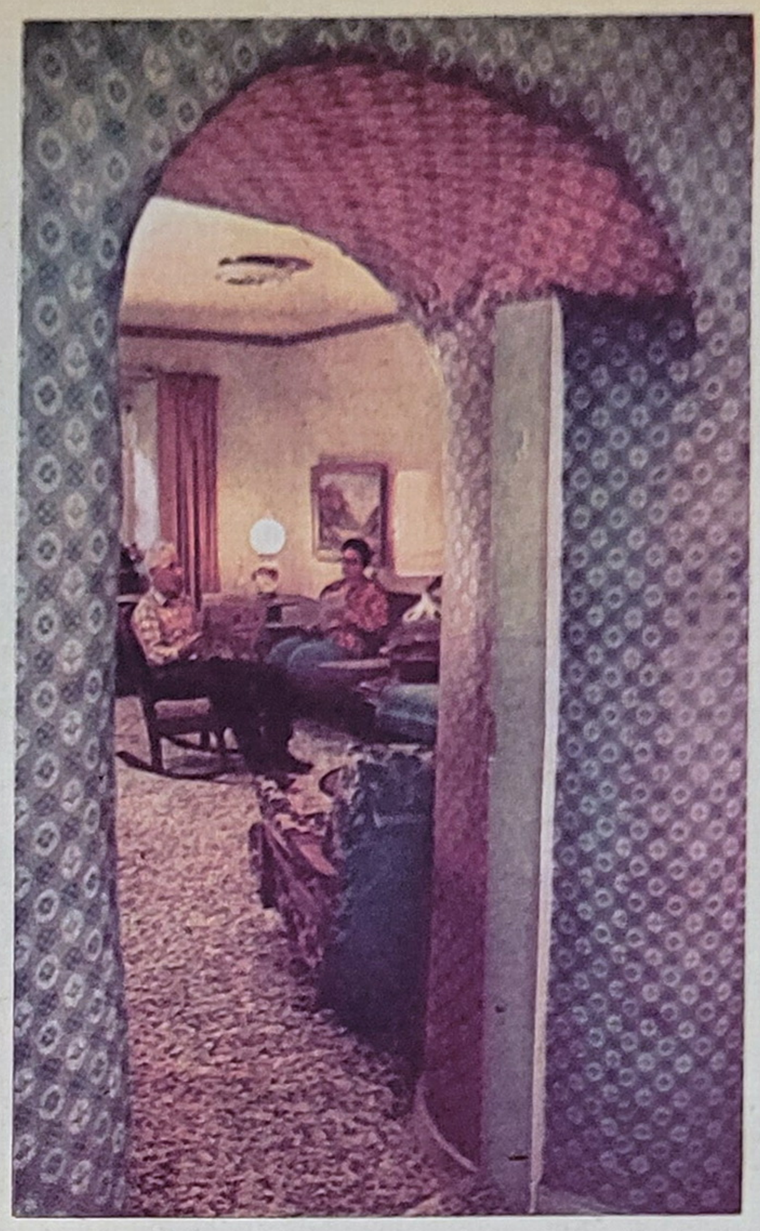

W artykule wykorzystano fragmenty zawarte w: „Psychologia starzenia się" D. B. Bromley'a, „Człowiek wobec śmierci" A. Toynbee'go, „Starość i medycyna" A. Zatrybówny.

Odznaczenie dla ministra Gromyki

POLSKA. Na początku października br. bawił z wizytą w Polsce minister spraw zagranicznych ZSRR **Andriej Gromyko.** Za jego wieloletnią działalność na rzecz pokoju, przyjaźni między narodami i współpracy, Rada Państwa przyznała naszemu gościowi Order Zasługi PRL I klasy.

Andriej Gromyko (65 lat) ukończył wyższe studia ekonomiczne. W 1956 r. doktoryzował się. Jest autorem wielu prac naukowych z dziedziny stosunków międzynarodowych.

W służbie zagranicznej pracuje od 1939 r. W latach 1943—46 był ambasadorem ZSRR w USA i w Republice Kuby. W latach powojennych zajmował stanowiska stałego przedstawiciela ZSRR w ONZ i Wielkiej Brytanii. W lutym 1957 r. został mianowany ministrem ZSRR.

Andriej Gromyko w 1944 r. uczestniczył w pracach konferencji krymskiej i poczdamskiej. Był też szefem delegacji radzieckiej na konferencję w San Francisco, która przyjęła kartę ONZ.

Jest członkiem KC i Biura Politycznego KPZR.

Odznaczenie PRL jest formą wysokiego uznania dla wieloletnich starań min. Gromyki, by na świecie panował pokój.

Karta pokojowego współistnienia

POLSKA. W ostatnich dniach września zakończyło się w Warszawie dwudniowe sympozjum poświęcone dyskusji nad projektem „karty pokojowego współistnienia, bezpieczeństwa międzynarodowego i współpracy". Uczestniczyło w nim blisko 50 działaczy międzynarodowego ruchu pokoju. Byli oni w swych poglądach zgodni, że karta ta powinna służyć lepszemu porozumieniu się narodów, ponieważ adresowana jest przede wszystkim do narodów a nie do rządów. Jej projekt został opracowany przez Polskę i uwzględnia podstawowe dążenie narodów świata do pokoju.

W Portugalii – spokój

PORTUGALIA. Po zagrożeniu ze strony prawicy, która chciała podstępnie przejąć władzę w kraju, w stolicy Lizbony, jak i w innych miastach, panuje spokój. Tylko dzięki szybkiej akcji sił zbrojnych, wspomaganych przez robotników, którzy zablokowali drogi wjazdowe do stolicy, zdołano opanować sytuację i aresztować organizatorów spisku. Jak się okazało, wśród nich znajdowali się ludzie związani z obalonym reżimem faszystowskim, m. in. były głównodowodzący wojsk kolonialnych w Mozambiku.

Komitet Centralny Portugalskiej Partii Komunistycznej opublikował komunikat, w którym stwierdza, że „zapowiedziana na 28 września demonstracja kontrrewolucyjna obróciła się w nowe wspaniałe zwycięstwo sił demokratycznych i ruchu sił zbrojnych".

Jakby następstwem tego wydarzenia stała się rezygnacja gen. Spinoli z funkcji prezydenta, co motywował on „nieskuteczną działalnością rządu i wypaczeniem ducha programu sił zbrojnych". Podobnie myślą o gen. Spinoli oficerowie, którzy kontrolują rewolucyjne przemiany w kraju.

RPA – pozbawiona pełnomocnictw

USA. Komitet ONZ d/s pełnomocnictw opublikował ostatnio raport, w którym stwierdza, iż delegacja RPA została mianowana przez rząd rasistowski, reprezentujący zdecydowaną mniejszość ludności tego kraju, a więc nie posiada prawa do reprezentowania ludności Afryki Południowej w ONZ. Delegacja nie zostanie więc prawdopodobnie dopuszczona do obrad w sesji Zgromadzenia Ogólnego.

(wp)

miasto PŁOMIENI

BAKU wita turystów płomieniami ognia. To płonie gaz powstały przy przeróbce ropy naftowej, będącej głównym bogactwem azerbejdżańskiej ziemi. Ogień jest zresztą jej symbolem od najdawniejszych czasów. Wyparty został dopiero dzisiaj przez inny, już współczesny symbol, którym są nie kończące się pola szybów naftowych.

Z ogniem związana jest historia religijnych pielgrzymów. Indyjscy „Czciciele ognia" tu właśnie docierali u schyłku swego życia, by umrzeć, a ciała pozostawić do spalenia w świętych płomieniach. Bogaci kupcy indyjscy zbudowali nawet w Baku świątynię, która przyciągała pielgrzymów z całego świata.

Dzisiejsze Baku zachwyca turystów swą nowoczesnością: niebanalną architekturą i rozmachem nowych urbanistycznych rozwiązań, pozostających jednak zawsze w harmonii z tutejszą przyrodą oraz południowym klimatem. Myślę o szczególnie pięknym nadmorskim bulwarze, przy którym znajdują się wychodzące w morze urocze restauracje i super-nowoczesny, 17-piętrowy hotel „Intouristu".

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z ZSRR)

Bez reszty jednak absorbują mnie mające swą długą historię średniowieczne mury obronne, twierdze, baszty. I wreszcie jeden z najciekawszych, najwyższej rangi zabytek — kompleks pałacowy szachów Szirwanu.

Droga do pałacu prowadzi przez bakijskie stare miasto, którego uliczki są tak wąskie, że mogą się przez nie przecisnąć tylko piesi.

Na terenie pałacowym znajdują się: pałac, kancelaria (oddzielny pawilon), meczet z minaretem oraz łaźnie, które odkryto dopiero przy okazji wykopalisk w 1936 r. Miały one również, jak wszystkie łaźnie Wschodu, utrzymywać w pałacu ciepło zimą, a chłód latem. A w specjalnie wyznaczone dni tygodnia mogli korzystać z nich wszyscy mieszkańcy miasta.

Innym ciekawym zabytkiem Baku jest zbudowana w XII w. „Dziewicza Baszta". Według ustnych przekazów skakali z niej nieszczęśliwi kochankowie, których nieodwzajemniona miłość pchała do samobójstwa. Nie dotarłam jednak na jej szczyt. Może to strach przed „fatalnym" miejscem? A może po prostu zwykłe zmęczenie, które dało się we znaki po całodziennym zwiedzaniu. Tym bardziej, że tuż obok kusiła sympatyczna kawiarenka. I choć okazało się, że jest akurat zamknięta, zostałam jednak zaproszona do środka, poczęstowana mocną, dobrą kawą, za którą szef nie chciał wziąć pieniędzy, gdyż Polaków darzy się tu wyjątkową sympatią.

JOLANTA SKUPIŃSKA

Pierwsza w dziejach filmowa wyprawa Telewizji Polskiej do Azji Południowej

LELUM I POLELUM WYRUSZAJĄ DO KRAINY YETI

Jeden z samochodów wyprawy przed gmachem TV w Warszawie. Obok członkowie ekspedycji: (od lewej) inż. Kazimierz Mazurek, jeden z kierowców, Andrzej Żurowski, Stanisław Szwarc-Bronikowski i Jacek Szwarc-Bronikowski.

Lelum i Polelum to nazwy bliźniaczych bóstw słowiańskich, a że dzisiaj w bóstwa nikt nie wierzy, za to ubóstwiamy technikę — nazwy te otrzymały dwa bliźniacze samochody „Star 266", przedstawiciele tej samej najnowszej serii samochodów ze starachowickiej fabryki. Wozy te przystosowane są do jazdy w trudnym terenie, potrafią brodzić przez wodę do głębokości 180 cm, mają specjalne urządzenia do wyciągania się z dołów, choć każdy z nich waży 4 tony. Te wszystkie zalety nie są bez znaczenia, jeśli np. w takim Assamie jest ponoć w roku aż 360 dni deszczowych. Lelum i Polelum mają do pokonania 40 000 km, wg planu 350 km dziennie. Czy się sprawdzą w różnych klimatach i wysokościach, w dalekiej drodze z Polski do Indii, w rejon Himalajów, tam gdzie dotychczas nie dotarł obiektyw filmowej kamery?

Sześcioosobowa ekipa wyprawy ma zadania podzielone. Nad tym jak się spiszą samochody, czuwać będzie inż. mechanik **Kazimierz Mazurek** i dwaj doświadczeni kierowcy — **Stefan Brodawka** i **Bolesław Jabłoński.**

Jest to jednak wyprawa filmowa, a więc najważniejszym jej celem będzie zrealizowanie dla Naczelnej Redakcji Programów Oświatowych TV serii filmów o sztuce rejonu Himalajów, o faunie i florze a także o mieszkańcach mało znanych himalajskich państewek. Karawanami jaków i słoni filmowcy wyruszą także i w dżunglowe partie rejonu północno-wschodnich Indii. W skład filmowej ekipy wchodzi **Stanisław Szwarc-Bronikowski** — dziennikarz, realizator filmowy, autor około 50 filmów z różnych zakątków świata. Jest to jego ósma, największa z dotychczasowych ekspedycji. W zeszłym roku razem ze swym synem, Jackiem, wędrował przez kontynent południowoamerykański i nakręcił siedem filmów z Peru i Chile. Teraz też jedzie Jacek wraz z ojcem jako asystent operatora. Stanisław Szwarc-Bronikowski za cykl filmów z Ameryki Południowej otrzymał nagrodę Polskiego Radia i Telewizji. Do Azji zabiera z sobą 12 tysięcy metrów barwnej taśmy filmowej.

Szóstym podróżnikiem na kontynent azjatycki jest **dr Andrzej Żurowski** z TV Gdańsk, dziennikarz, realizator filmowy i teatrolog. To on właśnie ma nadzieję spotkać w okręgach Assamu ludowe teatry, których repertuar i sztuka aktorska trwają tam niezmiennie od czasów Buddy. Ma też zamiar napisać z tej wyprawy książkę.

Lelum i Polelum stoją już gotowe do drogi. Dokonano w nich koniecznych przeróbek dla potrzeb wyprawy. Przez pół roku staną się domem dla sześciu podróżników i będą ich prowadzić do wielkiej przygody mocą swoich 150 koni KM.

(bt)

Niezwykłe perypetie afrykańskiego bożka

AFO-A-KOM WRACA DO DOMU

Siedem lat spadały na ludzi z plemienia Kom w Kamerunie straszliwe nieszczęścia: epidemie, nieurodzaj, susza. Wszyscy współplemieńcy doskonale znali przyczynę tych niepowodzeń. Oto znikł w tajemniczy sposób Afo-A-Kom — posąg z czarnego drewna, wysokości ok. 1,50 m; przedstawiał on Mbanga, praojca całego plemienia. Komowie wierzą święcie, że w tej właśnie statui zawarta jest siła żywotna plemienia.

I choć wiadomo, że epidemie wywołane były infekcjami, susza — warunkami klimatycznymi, a nieurodzaj — brakiem deszczu, to jak wytłumaczyć te sprawy ludziom, żyjącym w wioskach w głębokiej dżungli na poziomie ustroju rodowego? Co gorsze, przestraszeni ludzie Kom zobojętnieli na wszystko, przestali pracować, pokornie oczekując nowych nieszczęść. Wydawało się, że zniknięcie Afo-A-Koma położy również kres istnieniu plemienia.

Jak zniknął Mbanga?

Posąg zniknął w 1966 roku z „domu skarbów" króla plemienia Kom. W domu tym trzymano plony a także maski rytualne, bębny i w oddzielnym pomieszczeniu statuę Mbangi — Afo-A-Koma. Najprawdopodobniej jacyś złodzieje spoza plemienia chcieli podkraść trochę prosa i zabrali posąg, by go sprzedać kolekcjonerom. Ryzykowali głową, ale wiedzieli, że opłaci im się to bardziej niż całe zbiory plemienia.

Kiedy okazało się, że Mbanga znikł, każda zagroda ofiarowała kozę na ofiarę w świętym lesie, by uprosić powrót bożka. Nadaremnie! Wtedy na plemię Kom zaczęły spadać nieszczęścia.

Craig Kinzelman rozpoczyna akcję

W tym czasie przybył do Kamerunu amerykański etnograf Craig Kinzelman. Zapoznał się z historią ginącego plemienia i postanowił za wszelką cenę pomóc ludziom Kom. Kinzelman sądził, że posągu nie ma na terenie Afryki, bo już nawet dla sąsiedniego plemienia nie przedstawia Mbanga żadnej wartości. Jeśli Afo-A-Kom jest w posiadaniu jakiegoś muzeum czy prywatnego zbieracza, to wcześniej czy później jego fotografia trafi do katalogów lub czasopism. Ta teoria potwierdziła się po kilku latach. Przez cały czas etnograf uważnie śledził wszystkie nowe publikacje na temat sztuki afrykańskiej. I oto pewnego dnia z okładki katalogu wystawy w Nowym Jorku spojrzał na niego Mbanga — Afo-A-Kom! Kinzelman dał znać policji amerykańskiej i Interpolowi.

Skąd wziąć 50 tysięcy dolarów?

Z pomocą policji i prasy ustalono, że posąg Afo-A-Koma zgłosił

na wystawę nowojorski handlarz dziełami sztuki — Farman. Posiadał on jednak dokumenty stwierdzające, że kupił statuę legalną drogą w Europie. Przyciśnięty do muru, zgodził się sprzedać Mbangę — przecież to ostatecznie jego zawód — ale za horrendalną sumę 50.000 dolarów! Takiej sumy pieniędzy nie widziało nawet w swej historii plemię Kom z afrykańskiej dżungli. Nie miał takiej sumy ani Kinzelman, ani nawet ambasada Kamerunu w USA, która brała udział w poszukiwaniu statui Mbangi. Do ataku na Farmana zmobilizował Kinzelman dyrektorów amerykańskich muzeów oraz wiele oficjalnych osobistości afrykańskich. Z tymi ludźmi nie mógł nie liczyć się handlarz. Po roku ustąpił: dobrze, odda bożka za dwadzieścia tysięcy dolarów, bo tyle za niego zapłacił.

Mbanga wrócił! Wróciło życie!

Pieniądze zebrano drogą składek. 1 grudnia 1973 roku przekazano posąg Afo-A-Koma ambasadorowi Kamerunu w USA. Dwa dni leciał Mbanga samolotem do domu: sześć tysięcy mil z Waszyngtonu do Jaunde, stolicy Kamerunu. Troskliwie owinięty jedwabną materią, zapakowany w specjalny pojemnik, zniósł drogę wspaniale. Król plemienia Kom — Nsom Ngwe — jeszcze na stołecznym lotnisku osobiście stwierdził, że figura jest autentyczna, że jest to ten sam Mbanga, który zniknął w 1966 roku.

Potem cała karawana samochodów udała się na tereny plemienia. W pierwszym wieziono Afo-A-Koma. Trzydzieści tysięcy ludzi Kom wyległo z chat. Grzmiały bębny, krążyły w dziękczynnym tańcu kolorowo ubrane kobiety.

„Mbanga wrócił! Wróciło życie! Afo-A-Kom jest ze swoim ludem" — słychać było okrzyki radości. Statuę umieszczono w „domu skarbów". Jeszcze tydzień brzmiały bębny; ludzie Kom śpiewali, tańczyli i cieszyli się.

Na trzeci dzień, pod wieczór, lunął oczekiwany latami deszcz. Wiadomo — sprawił to Mbanga! Deszcz zapowiadały dawno stacje meteo, w związku z radykalną zmianą sytuacji klimatycznej nad Atlantykiem. Ale kto jest w stanie wytłumaczyć to plemieniu Kom w dniu, w którym Afo-A-Kom wrócił do domu?

Oprac. JAN STYKOWSKI
zdjęcia „National Geographic"

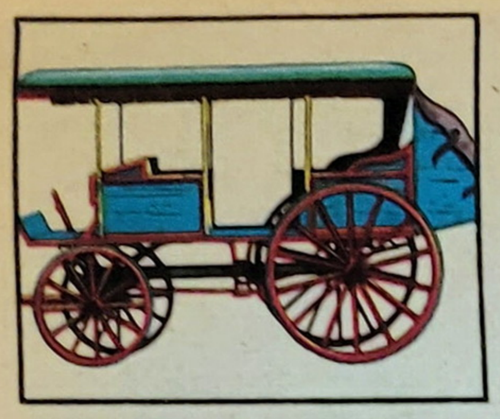

Dyliżans kompanii „Butterfield".

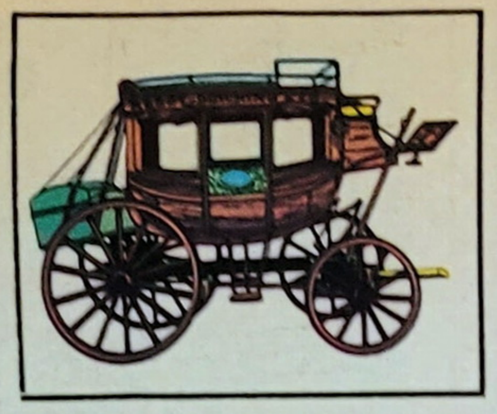

Luksusowy dyliżans komp. „Abbot-Downing".

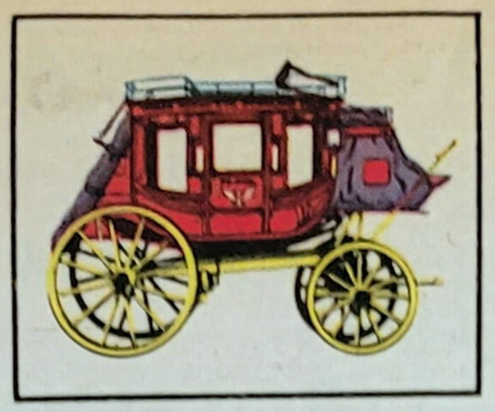

Dyliżans pocztowy komp. „Wells-Fargo".

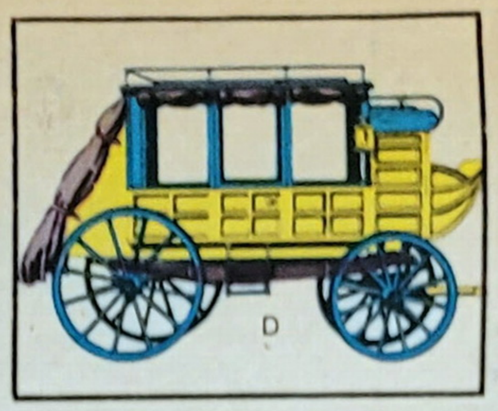

Dyliżans do Denver z 1878 roku.

Dyliżans przystosowany do podróży przez pustynię.

DYLIŻANSEM PO DZIKIM ZACHODZIE

Dyliżanse, które pojawiają się na wschodzie Stanów Zjednoczonych już na początku XIX wieku prawdziwą karierę robią dopiero w drugiej połowie stulecia. Na zachód od Missisipi, gdzie sieć dróg wodnych nie była tak gęsta, dyliżanse stają się w tym czasie głównym środkiem transportu, a gorączka złota w Kalifornii i Colorado powoduje szybki rozwój ich stałych linii łączących wschód z zachodem. Przez prerie Wielkich Równin, pustynne wyżyny Meksyku i Arizony przewożą podróżnych, pocztę i złoto stając się często obiektem napaści Indian lub bandytów. Kilkuosobowa obsługa jest więc zwykle uzbrojona po zęby, a zawód kuriera zdobywa sobie miano jednego z najbardziej niebezpiecznych. Nim pociągi wyparły dyliżanse na zawsze przeszły one do legendy Zachodu.

Najsłynniejsze spółki posiadające wiele produkowanych w Concorde (New Hampshire) dyliżansów — to kampania „Butterfield" i „Wells – Fargo".

W 1858 roku John Butterfield założył pocztę „Butterfield Overland Mail", która kursowała na stałej trasie z Tipton w Missouri na południe do San Antonio i El Paso a wkrótce dalej: przez pustynię Tuscon, Fort Yuma aż do San Francisco. Długość całej trasy wynosiła prawie 4,5 tys. km! Dyliżanse jechały dzień i noc przebywając w ciągu doby średnio 200 km. Co kilkanaście kilometrów zmieniano na stacjach konie i zaopatrywano się w żywność: fasolę, boczek, chleb i kawę. Barak obok zagrody dla koni był zarazem oberżą, sklepem i punktem wszystkich napraw – nierzadko też domem gry.

W wydanych w 1877 r. przez konkurencyjną kompanię „Wells-Fargo" „Radach dla podróżujących dyliżansem" pisano:

„Nie narzekaj na żywność, którą otrzymujesz na postojach — linie dyliżansowe zaopatrują cię w artykuły najlepsze, jakie mogą dostać. Jeśli woźnica prosi cię, byś wysiadł i przeszedł kawałek pieszo, uczyń to bez narzekania; nie wymagałby on tego od ciebie, gdyby nie było to absolutnie konieczne. Jeśli dyliżans ci ucieknie, zdaj się na łaskę losu. Nie wskakuj w czasie jazdy, bo ulegniesz wypadkowi".

RED. „SZALONE PIÓRO"

Uwaga!

Wszystkim, którzy zbierali kolejne odcinki „Legendy Dzikiego Zachodu", przypominam, że już wkrótce wydrukujemy kolorową okładkę albumu.

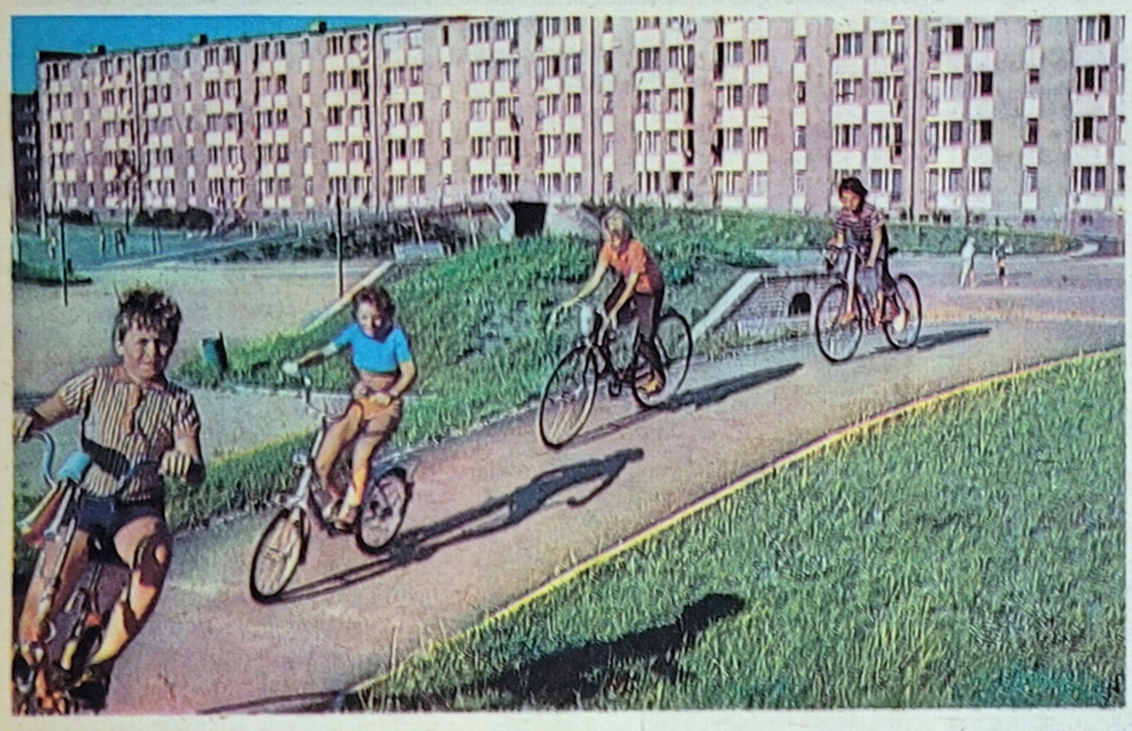

Rajski ogród

Dokończenie ze str. 1

Karczewska pełni funkcję kierowniczki osiedlowej świetlicy, a pani **Helena Balińska** pracuje jako instruktor od spraw wychowania młodzieży.

W budynku usytuowanym w samym rogu rozległego placu znajdują się pracownie plastyczne, szkutnicza, modelarska. Na piętrze — sala z estradą i z tarasem. W dnie deszczowe i w zimowe wieczory można tu obejrzeć film, popatrzeć w telewizyjny ekran, czy też potańczyć.

Ogródek Jordanowski na Przymorzu w Gdańsku wybudowany został na dwóch hektarach spółdzielczej ziemi wzdłuż ulicy Lumumby z funduszów społeczno-wychowawczych SM „Przymorze".

PZU w ramach prewencji dało 140 tysięcy złotych na ogrodzenie — właśnie dlatego, że znalazło się tu piękne miasteczko ruchu drogowego. Ale wiele prac wykonali w czynie społecznym mieszkańcy osiedla! Pracowali zresztą dla siebie. Tu bowiem uchwałą Rady Osiedla mieszkańcy mogą za jedne 100 zł zorganizować... wesele. Tu odbywają się kursy krawieckie, gotowania i inne, tu wreszcie cała młodzież, zamiast wałęsać się po ulicach, może każdego dnia, od godz. ósmej do dwudziestej, korzystać z wszelkich obiektów i sal.

KOGO NA TO STAĆ?

Ogródek Jordanowski na wielotysięcznym osiedlu jest, niestety, kroplą w morzu. Wprawdzie przed wieżowcami administracje budynków zorganizowały piaskownice i ustawiły huśtawki, brak jest jednak większych obiektów sportowych. Ów „brak", po głębszej penetracji osiedla, jest pozorny. Przy ulicy Dąbrowszczaków, znajduje się ogrodzony stadion. Widać na nim ślady bieżni, są boiska do gier. Wszystko to zamknięte na głucho w słoneczne, ciepłe popołudnie.

Kogo na to stać, aby na osiedlu liczącym 1400 młodych ludzi porastały trawą sportowe urządzenia? Dlaczego Urząd Miasta Gdańska nie odda obiektu chociażby tej samej Administracji nr 2, która potrafiła zorganizować i utrzymać w pięknym stanie wzorcowy Ogródek Jordanowski?

Spodziewamy się, że z nowym rokiem szkolnym stadion przy ul. Dąbrowszczaków znajdzie właściwego gospodarza.

WIESŁAWA MROCZEK

TAKIEJ WYSTAWY JESZCZE NIE BYŁO

Spośród 700 tysięcy polskich filatelistów 4 tysiące — to milicjanci, a więc co 175 milicjant jest filatelistą, zaś 150 z nich przedstawia swoje zbiory na wystawie.

Eksperymentalną nowością wystawy jest to, że zawiera ona zbiory krajowe, okręgowe, lokalne, okolicznościowe, tematyczne i specjalistyczne. Jest wszechstronna również co do tematyki.

Przy wystawie czynny jest kiosk filatelistyczny, w którym można nabyć m. in. specjalne wydawnictwa związane z wystawą:

— znaczek pocztowy wartości 1,50 zł, (nakład 8 mln egz.);

— trzy karty pocztowe w cenie nominalnej 1 zł;

— kopertę wystawy.

Walory filatelistyczne mogą być opatrywane dwoma rodzajami stempli okolicznościowych. Jeden będzie stosowany na wystawie, a drugi w dniu 7.X.1974 r. w urzędach pocztowych.

Oprócz walorów filatelistycznych organizatorzy wystawy wydali ozdobny arkusik składający się z nalepek (nie są to znaczki pocztowe) w cenie 10 zł. Dochód ze sprzedaży tego bloczka przeznaczony jest na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia.

Wśród wystawców zbiorów filatelistycznych jest duży procent młodzieży. Kolekcjonerzy wyróżnionych przez 11-osobowe jury zbiorów filatelistycznych otrzymają złote, srebrne i brązowe medale honorowe oraz dyplomy.

Oprócz zbiorów filatelistycznych specjalna ekspozycja poświęcona jest filumenistyce (kolekcjom etykiet zapałczanych). I tu naprawdę jest na co popatrzeć.

Wystawa zawiera również wiele ciekawych prac artystów amatorów (funkcjonariuszy MO) z dziedziny malarstwa, rzeźby i metaloplastyki.

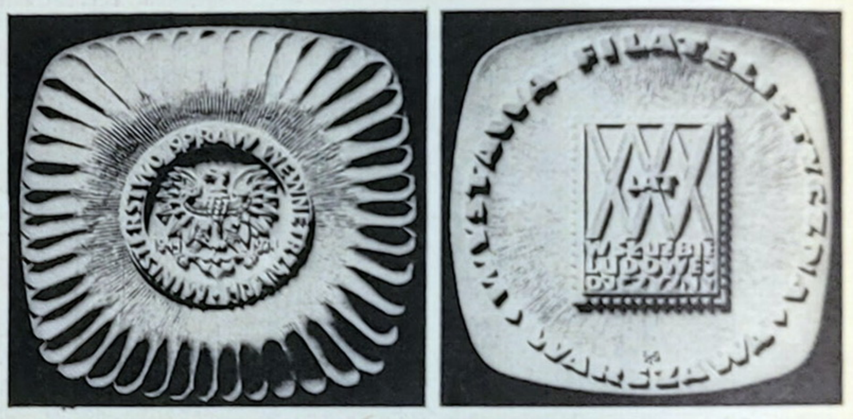

Rewers (z lewej) i awers (z prawej) medalu pamiątkowego wystawy.

Kartonik nalepek przedstawiający milicjanta, żołnierza, ormowca i strażaka. Dochód z jego sprzedaży przeznaczony jest na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia.

Godny uwagi jest wystrój wystawy, na który składają się wielkie fotogramy przedstawiające różne dziedziny działalności MO.

Wartość zbiorów filatelistycznych wynosi około półtora miliona złotych. Są one umieszczone w pięciuset gablotach. W celu ochrony kolekcji tak wielkiej wartości zastosowano elektroniczne urządzenia sygnalizacyjne.

Udział w Wystawie Filatelistycznej MO to jakby prywatna rozmowa z funkcjonariuszami milicji. Na ogół nikt nie pyta milicjanta o jego sprawy prywatne, zainteresowania, hobby itp. Wystawa „XXX lat w Służbie Ojczyzny" stwarza po temu znakomitą okazję.

WACŁAW BISKO

Znaczek pocztowy wydany z okazji XXX-lecia MO, projektu Witolda Surowieckiego, wyobraża w otoku flagi narodowej odznakę resortową MSW nadawaną funkcjonariuszom tego resortu za długoletnią i nienaganną pracę w służbie narodu.

SKĄD PRZYBYLI?

Wśród wielu uczonych (zwolenników wizyty) panuje przekonanie, iż Kosmici mogli pochodzić z następujących układów planetarnych:

a) układu Proxima Centauri odległego o 4,28 lat świetlnych
b) układu Alfa i Beta Centauri odległego o 4,34 lat świetlnych
c) układu Barnarda odległego o 6,00 lat świetlnych
d) układu Wolf-359 odległego o 8,10 lat świetlnych.

Są to układy planetarne najbliższych nam gwiazd, chociaż tak naprawdę o układach planetarnych możemy na razie mówić tylko w przypadku układu Proximy C. i Barnarda, gdyż tylko tam odkryto planety okrążające te gwiazdy. Do tego „katalogu" specjalnie wybrano układy planetarne gwiazd nam najbliższych, ze względu na czas podróży (oczywiście przy uwzględnieniu środków podróży nam znanych). Na Ziemi Kosmici lądowali prawdopodobnie w czterech obszarach geograficznych. Są to: Afryka, Azja, Australia oraz Ameryka. W Afryce była nim Sahara, w Azji pustynia Gobi. Australijskiego lądowiska na razie nie zdołano ustalić z „całą pewnością". W Ameryce rolę tę spełniać miała równina Nasca w Peru.

Grzegorz Mikusek

CZY „WENUSJANIE" LĄDOWALI NA ZIEMI?

Moja wypowiedź będzie się opierała głównie na fragmentach książki dr I. Velikovsky'ego. Twierdzi on, że twórcy naszej kultury to Wenusjanie. Wenus mianowicie jest bezapelacyjnie „wagabundą" pośród planet, która dopiero w najnowszych czasach włączyła się do naszego systemu słonecznego. Hipoteza ta, mogłaby być wytłumaczeniem niektórych starożytnych tekstów, które nie wymieniają Wenus w wykazie planet. I tak np. w astronomii babilońskiej mowa jest o 4 planetach krążących „wokół Ziemi", ale Wenus brak. Jeżeli mówi się o niej w starych tekstach, to jako o „wielkiej gwieździe", która połączyła się z „dotychczasowymi gwiazdami". Byłoby więc logicznym stwierdzeniem, że Babilończykom z 3000 r. p.n.e. Wenus nie była znana. A zatem nie było wtedy tej planety w Układzie Słonecznym, albo była ona zbyt oddalona od Ziemi, by starożytni mogli ją widzieć. W podaniach meksykańskich mówi się, że „wielki wąż" ognisty Quetzalcoatl'a zaatakował Słońce i że przez 4 dni panowała ciemność. Potem zamienił się „wielki wąż" w świecącą gwiazdą (Wenus?).

Jedna z legend o powstaniu jeziora Titicaca mówi, że tu właśnie wylądowali przybysze z Wenus i stworzyli w Tiahuanco własny ośrodek. Tymczasem później ośrodek Wenusjan został zniszczony przez kataklizm, a ocaleli mieszkańcy rozproszyli się po całej ziemi. Pojedyńczy Wenusjanie docierają przez Atlantyk do Egiptu, gdzie myśl ludzka zaczyna się dopiero rozwijać. Przekazują swoją wiedzę kapłanom egipskim i opowiadają o katastrofie i zatopieniu ich miasta nad Titicaca. Dla Egipcjan są oni jednak tajemniczymi Atlantami. Fakt ten stał się przyczyną nie kończących się sporów na temat Atlantydy, trwających po dziś dzień. Jedyną pozostałością po kosmitach jest Brama Słońca w Tiahuanaco, która jest prawdopodobnie tajemniczym kalendarzem astronomicznym.

Piotr Gumkowski
ul. Sienkiewicza 12/15
46-200 Kluczbork

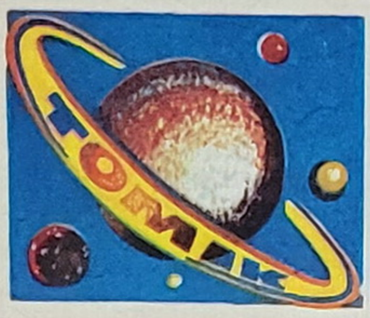

NA TROPACH ZAGADKOWYCH CYWILIZACJI

Uwaga, Tadeusz Barcikowski z Radomia! Twoja hipoteza o powstaniu Słońca i Układu Słonecznego, niestety jest mało prawdopodobna. Cały wywód oparłeś na przypadku lub szczęśliwych zbiegach okoliczności. Twoje prasłońce aż kilkakrotnie „spotyka" na swojej drodze gromadki gwiazd, które przechwyca i następnie tworzy z nich planety. Pomijając błędność całego rozumowania, sam fakt przekształcenia gwiazd w drobne ciała — jakimi są planety — jest nie do przyjęcia.

To tyle na ten temat. Dziś nowa porcja wypowiedzi w dyskusji, a także najświeższe informacje o Merkurym. Życzę przyjemnej lektury.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

LAWINA FAKTÓW I PYTAŃ

W Libanie istnieją szkliste okruchy skalne, zwane tektytami, w których uczony amerykański, dr Stair, odkrył radioaktywne izotopy aluminium.

W Iraku i w Egipcie znaleziono szlifowane, kryształowe soczewki, które można wyprodukować dzisiaj tylko przy zastosowaniu tlenku cezu, tlenku, który wydzielany zostaje w procesie elektrolizy.

W Heluanie przechowuje się kawałek płótna, tkaniny tak cienkiej i delikatnej, jaka i dzisiaj mogłaby być utkana tylko w specjalnych fabrykach o dużym doświadczeniu technicznym.

W Muzeum w Bagdadzie znajduje się elektryczna bateria sprzed 22 wieków.

W przednioazjatyckim, górzystym terenie, w Kohistanie, odkryto rysunek jaskiniowy, podający dokładnie układ ciał niebieskich, jakie zajmowały przed 10.000 lat. Wenus i Ziemia na tym rysunku połączone są liniami.

Na płaskowyżu w Peru znaleziono ozdoby z platyny.

W grobowcu Chou-Chou w Chinach leżały części paska wykonanego z aluminium.

W Delhi istnieje stary, żelazny słup, który nie zawiera ani fosforu, ani siarki i dlatego jest odporny na szkodliwe działanie wpływów atmosferycznych.

Nasuwa się teraz wiele pytań. Jak te prymitywne, żyjące w jaskiniach istoty zdołały narysować ciała niebieskie w ich właściwym układzie? Z jakiego precyzyjnego warsztatu pochodzą wyszlifowane kryształowe soczewki? Jak wytopiono i modelowano platynę, skoro ten szlachetny metal zaczyna topić się dopiero w temperaturze 1800°C? Jak zdobywano aluminium, metal otrzymywany z wielkimi trudnościami z boksytów? Są to pytania kłopotliwe, ale czy nie trzeba ich stawiać? Ponieważ nie chcemy przyjąć, że przed naszą kulturą istniała kultura wyższa, a przed naszą techniką, technika podobnie doskonała, pozostaje nam jedynie hipoteza o odwiedzinach ze wszechświata.

Marek Gozdowski
ul. Jagiellońska 3/5 m. 32
87-800 Włocławek

Tak wygląda słynna bateria z Bagdadu rozebrana na części. Od lewej: gliniane naczynie stanowiące obudowę baterii, następnie trzpień żelazny i cylinder miedziany.

ZNALEZISKA NAD AMAZONKĄ I NA BLISKIM WSCHODZIE

Nad Amazonką wśród niektórych plemion wybuchła panika, której powodem było zbliżenie się do Ziemi komety Kochoutka. Wyprawa powzięta przez rząd, mająca na celu uspokojenie Indian, znalazła niedaleko ich siedzib wykuty na skale rysunek przedstawiający jakiś punkt zbliżający się do kuli symbolizującej Ziemię. Rysunek ten pochodzi, jak obliczono, sprzed 10–15 tys. lat.

Również teksty pisma klinowego i tabliczki z Ur, najstarsze księgi ludzkości informują bez wyjątku „O bogach, którzy jeździli w barkach po niebie".

A oto jeszcze inny przykład: Najstarszy sumeryjski dokument piktograficzny z czwartego tysiąclecia p.n.e. (na rys. u góry) przedstawia jakby ostatni człon rakiety z czterema antenami parabolicznymi.

Sławomir Rosłan
Sławomir Gajewski

STATUETKI DOGU

Na Wyspie Honsiu w Japonii znaleziono tajemnicze statuetki liczące ok. 5000 lat, tzw. Dogu.

Oto dwie opinie o nich. Pierwszą wydali eksperci japońscy:

— „...rękawice są wzmocnione zamkiem błyskawicznym na przedramieniu, znaki na ubraniach to urządzenia do regulacji ciśnienia, „korona" na głowie — to antena..."

Natomiast opinia ekspertów NASA brzmi:

„Nasi specjaliści są przekonani, że ubiór tych figurek jest prawie identyczny z wyposażeniem obecnych astronautów. Specjalnie dotyczy to okularów, urządzeń do regulacji ciśnienia..."

To tyle (na razie).

Jerzy Wójcicki
ul. Nałkowskiej 7 m. 19
42-200 Częstochowa

PRAWDZIWE OBLICZE MERKUREGO

MERKURY, ta najmniejsza z dziewięciu planet Układu Słonecznego, była najmniej też spośród nich znana. Posługując się nawet najlepszymi teleskopami niewiele można było zaobserwować: Merkury, nieco większy od Księżyca, znajduje się zbyt blisko Słońca. Jego tarcza mogła być oglądana tylko w pełni dnia, a i wówczas zawsze pozostawała mniej lub bardziej skąpana w oślepiającym blasku słonecznym. Stąd nazwa „planeta ognia". Jedyne szczegóły, dające się zauważyć w tych warunkach, to niewyraźne ciemne plamy na błyszczącym tle.

Dopiero w tym roku otrzymaliśmy nowe informacje o Merkurym. Stało się to za pośrednictwem amerykańskiej sondy — „Mariner-10". Automatyczny pojazd za jednym zamachem sfotografował dwie planety, najpierw Wenus a następnie Merkurego, do którego zbliżył się na odległość zaledwie 700 km. Stąd „Marinen-10" dokonywał pomiarów i badań promieniowania, stąd wykonywał zdjęcia fotograficzne powierzchni planety przekazywane na Ziemię.

W rezultacie uczeni uzyskali potwierdzenie tego, czego właściwie oczekiwali: powierzchnia „planety ognia" jest bardzo podobna do powierzchni Księżyca, usiana kraterami różnej wielkości — aż do największych, mających ok. 120 km średnicy. Były jednak i niespodzianki: wbrew przewidywaniom — mniej wyżłobiona na skutek erozji niż przypuszczano.

Niespodzianką było także odkrycie przez „Marinera-10" atmosfery na Merkurym. Jest to tym bardziej zadziwiające, że Merkury jako niewielka planeta w zasadzie „nie miał prawa" mieć własnej otoczki gazowej. Fakt ten zadziwia również i z tego powodu, że wobec wysokiej temperatury panującej na planecie spowodowanej bliskością Słońca, utrzymanie atmosfery złożonej z lekkich gazów powinno być mało prawodopodobne. A jednak obserwacje przeprowadzone przez sondę międzyplanetarną mówią co innego.

A oto jeszcze jedna wiadomość, która napłynęła z ośrodka zdalnego kierowania lotami kosmicznymi w Pasadenie. Otóż przedstawiciel tego ośrodka, prof. Donald Gauld oświadczył, że po dokonaniu szczegółowej analizy zdjęć Merkurego nadesłanych przez „Marinera-10" okazało się, że planeta ta na początku swego istnienia została uderzona przez gigantyczny meteoryt. W wyniku tego uderzenia na powierzchni Merkurego powstało olbrzymie zapadlisko. Wg obliczeń średnica meteorytu wynosiła 100 km! Fakt ten miał miejsce przed 3,5 miliardami lat.

Tak wygląda powierzchnia Merkurego sfotografowana przez „Marinera-10". Prawda, że jest ona podobna do księżycowej?

REDAKCYJNA POCZTA

Program na Dzień Nauczyciela

Chciałabym Cię prosić „Świecie Młodych", abyś zamieścił jakąś inscenizację czy wiersz z okazji Dnia Nauczyciela.

Magda z Lublina

Od red. Pamiętamy o dostarczeniu Wam repertuaru! Program przeznaczony na Dzień Nauczyciela znajdziecie w czwartkowym numerze „Świata Młodych" z datą 10 października.

Kiedy to się zmieni?

O tym, aby myć ręce przed każdym posiłkiem uczono mnie w domu od dziecka. Stosuję się do tego, ale zdumiewa mnie zastraszająco niski poziom higieny w naszych sklepach. Oglądam nie tylko brudne fartuchy sprzedawców, ale z obrzydzeniem patrzę, gdy te same ręce podają mi bułkę, a potem przyjmują pieniądze, kroją ser itp. Po prostu nie lubię robić zakupów.

Ala z Warszawy

Mirosław Dawidziuk (lat 11), ul. 22 Lipca 24/5, 82-500 Kwidzyń zbiera fotosy samochodów, widokówki, znaczki pocztowe oraz znaczki metalowe i proporczyki, chce nawiązać korespondencję.

Dla Wiki i Iki

Czytamy niemal wszystko w numerach, ale przede wszystkim „Pocztę Redakcyjną". Poradźcie, co zrobić? Mamy po 14 lat, chodzimy do ósmej klasy, podobają nam się dwaj chłopcy, ale sęk w tym, że przechodząc obok nas wymawiają tylko jedno słowo: „Cześć". Co gorsza nie tylko oni są nieśmiali, my też! A chciałybyśmy pójść z nimi (we czwórkę) do kina czy na basen. „Poczto" — poradź.

Wika i Ika z Bytomia

Od red. Redakcyjny „Światowiec" dałby z pewnością bardziej dystyngowną radę, ale „Redakcyjna Poczta" liczy na Waszą przedsiębiorczość i dlatego też proponuje, abyście obwieściły wszem i wobec (tak aby i „ONI" słyszeli), że warto by pójść do kina, a nawet możecie zebrać pieniądze i zakupić bilety. Jeśli na wspólną wyprawę na film zgłosi się jeszcze parę dziewcząt i chłopców, nie będziecie chyba bardzo niezadowolone?

Będę dotąd prosił

„Będę dotąd prosił o adresy Tomka i Moniki aż mi je przyślecie".

Tadeusz Wyczesany
z Przyborowa

Od red. Ponieważ takich listów otrzymaliśmy mnóstwo wszystkich naszych czytelników informujemy, że nie jesteśmy upoważnieni do podawania adresów piosenkarzy, aktorów, słowem gwiazd estrady i ekranu. Przykro nam też ogromnie, ale nie możemy wysyłać fotosów i zdjęć. Ponieważ listów tego rodzaju każdego dnia otrzymujemy bez liku — odpowiadamy na nie zbiorowo w „Poczcie Redakcyjnej". Kochani! Cała gazeta przeznaczona jest dla Was, chętnie spełniamy Wasze prośby i przyjmujemy zamówienia, ale wyłącznie dotyczące gazety i zamieszczanych w niej artykułów.

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

4

RÓŻE I DZIEWCZYNA

ZACZĘŁA ROZGLĄDAĆ SIĘ PO POKOJU. Wszędzie leżały porozrzucane części Jego garderoby. Jakieś swetry, koszule, krawaty, kąpielówki. „Artystyczny bałagan" — pomyślała Celina. Te różne kolorowe szmatki mogłyby być nawet malownicze, gdyby były czyste i wyprasowane. Wymięte, poplamione, stwarzały przygnębiający nastrój. Żona weszła do pokoju i zaczęła nerwowo zbierać części Jego garderoby. Przepraszała za bałagan. Robiła mu wymówki, że znów nie jest zdecydowany w co się ubrać i wyrzucił wszystkie rzeczy z szafy. Ale mówiła to cicho, z obawą, że może na nią krzyknąć. On jednak milczał i wpatrywał się w Celinę. Lustrował ją z góry do dołu. Było jej nieprzyjemnie, jakby ją w myślach obnażał. Czuła, że się czerwieni. Było jej duszno, gdyby miała trochę odwagi, poprosiłaby o otwarcie okna.

— Czytałam wszystkie wiersze Gałczyńskiego i wiem dokładnie, z jakich utworów pochodzi tekst pana ostatniej piosenki — nareszcie się odezwała, dziwiąc się, że jej głos jest prawie zwyczajny.

Uśmiechał się nijako. Celina wiedziała, że nie wolno tracić drogocennego czasu, tyle ma Mu do powiedzenia...

— Którego poetę najczęściej pan czyta? Domyślam się, że Gałczyńskiego. Ale i Norwid... Pan musi lubić Norwida. Pan go rozumie, to się wyczuwa. I kiedy pan śpiewa, ja także wszystko rozumiem... Wszystko...

Wyraźnie się speszył.

— Hm, tak. Norwid, oczywiście — coś mu się przypomniało i dodał napuszonym głosem — drugie dno tej poezji, prorocze przeczucie, niepokój współczesnych...

Mówił i mówił, nie mogła Go zrozumieć i nawet się nie starała. Przyglądała mu się spokojnie, bez emocji. Oceniała Jego nos, oczy, usta, włosy — tak, nie mogła się mylić: zaczynał po prostu łysieć. Owszem, starał się ukryć te ubytki owłosienia, zaczesywał włosy z tyłu na czoło, ale niewiele to pomagało. Włosy były rzadkie, właściwie brzydkie. O mało co głośno nie powiedziała: „Przecież to stary facet". Niemożliwe, bym znalazła z nim wspólny język — myślała. On i ja to zupełnie inny świat. Co ja tu robię?

— O co ci właściwie chodzi? — przerwał swoje wywody.

Przypomniała sobie jedno z pytań, które już dawno sobie przygotowała:

— Czy pan komponuje w nocy?

— Nie, raczej rano, ale kiedyś w nocy przyszła mi do głowy niezła melodia.

— Lubi pan marzyć?

— Nie mam na to czasu — odpowiedział zniecierpliwiony.

Siedzieli naprzeciwko siebie w znudzonym milczeniu. W kuchni delikatnie zadzwoniła o szkło łyżeczka. Prawda, miała być herbata...

Nagle przypomniała sobie o brulionie. On wyraźnie się ożywił, gdy zobaczył swoje kolorowe zdjęcie na okładce.

— To jedno z lepszych moich zdjęć — powiedział i zaczął kartkować brulion.

— Och! To zdjęcie proszę natychmiast zniszczyć! Strasznie tu wyglądam.

— Mnie się to zdjęcie podoba — cicho powiedziała Celina.

— Niemożliwe!

Zagapił się na zasuszony fiołek.

— A to co?

— To z bukiecika, który chciałam panu wręczyć w ubiegłym roku, gdy miał pan koncert. Pan pamięta?

— Trudno pamiętać, wszędzie dostaję tyle kwiatów!

Nadal wertował brulion i tylko od czasu do czasu podnosił głowę.

Nie odzywał się do niej wczytując się w stare wywiady. Poruszał przy tym wargami, czasem uśmiechał się z zadowoleniem. Nagle zdecydowanym głosem Celina powiedziała:

— To ja już sobie pójdę. Przepraszam pana.

Nic nie odpowiedział, nie wstał nawet od stołu.

★

Z ulgą usiadła na własnym tapczanie. Chciała zadzwonić do mamy do pracy, ale brakowało jej odwagi. Musiała się uspokoić, pomyśleć.

Spojrzała na Jego pierwszą płytę. „Najlepszy powojenny longplay Polskich Nagrań" — tak pisały gazety. Uprzytomniła sobie, że płyta jest już zdarta, że nie przedstawia żadnej wartości, powinno się ją po prostu wyrzucić.

Muszę zrobić porządki — pomyślała i wtedy przypomniała sobie, że ma przy sobie ten brulion, który był jeszcze tak niedawno najdroższym, najważniejszym jej skarbem. Skarbem? To śmieszne! Trzeba to wyrzucić jak najprędzej i zapomnieć. Tak, właśnie zapomnieć.

Spojrzała w otwarte drzwi balkonu, wyjęła brulion z torby i nie patrząc nawet, wyrzuciła szerokim łukiem na ulicę. Brulion jak dziwny ptak rozpostarł skrzydła kartek i z wysokości dziesiątego piętra zaczął szybować w dół.

KONIEC

UWAGA! Opowiadanie ukaże się w zbiorze opowiadań tego autora w Wydawnictwie Harcerskim „Horyzonty".

GWIAZDOZBIÓR

Małgorzata Braunek

Małgorzata Braunek pojawiła się na ekranie filmowym prawie nagle, jeszcze jako studentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Po małym epizodzie w „Żywocie Mateusza" — w ciągu jednego roku 1969 wystąpiła aż w trzech filmach. Grała oczywiście role młodych dziewczyn.

Każda z nich musiała być oczywiście zupełnie inna. Teresa w „Skoku" to młodziutka wiejska dziewczyna, trochę nieśmiała, trochę niezdarna, swobodna, gdy biega boso, ale okropnie sztywna w niedzielnej sukience. Dziewczyna pełna wdzięku, której pierwszy raz podoba się chłopiec. Natomiast Irena z „Polowania na muchy" jest studentką, która pozuje na intelektualistkę, wie że się podoba mężczyznom, pragnie to wykorzystać, imponować im, narzucać swoją wolę. Żadna więc nie była Małgorzatą, chociaż obydwie miały jej uśmiech. Ale nawet i uśmiech nie był ten sam. Teresa w filmie „Skok" uśmiechała się szczerze, otwarcie, choć troszkę nieśmiało, a Irena w „Polowaniu na muchy" prowokacyjnie, triumalnie.

Po filmie Andrzeja Wajdy „Polowanie na muchy" uznano, że Małgorzata Braunek powinna grać role żywiołowych, nowoczesnych dziewczyn, bo pasuje do nich po prostu idealnie. Stało się jednak inaczej.

Bohaterka następnego filmu pt. „Wniebowstąpienie", którego akcja toczy się w czasie okupacji, żyje w ciągłym zagrożeniu, obawie o swój los i życie ukochanego człowieka. O ile więc celem Ireny z filmu „Polowanie na muchy" było zwracanie na siebie uwagi, przyciąganie wzroku, o tyle Raisa z „Wniebowstąpienia" musiała się zachowywać zupełnie inaczej. Powinna wyglądać jak najbardziej niepozornie, ginąć wśród innych, niczym się nie wyróżniając. To przecież była szansa ocalenia. Wymagało to od Małgorzaty Braunek zupełnie innego sposobu gry — skupienia, powściągliwości, unikania gwałtownych efektów.

A potem przyszła rola bardzo trudna. Rola podwójna — bo aktorka gra w jednym filmie dwie kobiety. Ich historia nakłada się na siebie. Operator tego filmu, W. Sobociński, zdecydował, że wieku starszej bohaterki nie należy podkreślać charakteryzacją. Trzeba to było zagrać! Film nazywa się „Trzecia część nocy", a jego reżyserem jest Andrzej Żuławski, mąż aktorki.

No i wreszcie Oleńka. „Przerabiała", to znaczy zmieniała koncepcje tej roli Małgorzata Braunek nie tylko przed rozpoczęciem zdjęć, ale już w trakcie realizacji filmu. Niektóre sceny, na przykład scenę ślubu, kręcono drugi raz, bo dopiero kiedy film był prawie gotowy, uświadomiła sobie, jak tę rolę powinna zagrać.

W „Potopie" nosi Oleńka kilkanaście różnych kostiumów — bardziej i mniej strojnych, ale z reguły ciężkich i krępujących ruchy. Jej suknie mają wąskie rękawy, koronkowe mankiety, bardzo dopasowane gorsety. W takich strojach nie można nawet lekko się przygarbić, a gestykulować trzeba niezwykle ostrożnie, ponieważ nad dłonią zawadza koronka lub falbanka. W ogromnym kapeluszu (Oleńka nosi nie tylko futrzane czapy) nie można potrząsnąć głową, tak jak na przykład w berecie.

— Kostium więc — mówi aktorka — wpływa na ruchy aktora, sposób chodzenia, trzymania głowy. Początkowo przeszkadza, a później staje się jakby pomocnikiem. Jakbym wyglądała w pięknej bogatej sukni do kostek chodząc zamaszystym krokiem dobrym dla dziewczyny w dżinsach?

Małgorzata Braunek zżywa się z filmem, w którym gra. Lubi przebywać na planie nawet wtedy, gdy nie gra w danej scenie. Obserwuje swoich kolegów i stara się dostosować do specyficznej atmosfery, jaka towarzyszy realizacji każdego ambitnego filmu. Ułatwia jej to budowanie własnej roli. Bardzo sobie ceni współpracę z zespołem, kolegami, partnerem, a szczególnie tak wybitnym jak Daniel Olbrychski. Grając w „Potopie" omawiała z nim bardzo szczegółowo każdą scenę, niemal każdy ruch. Uważa, że dopiero wtedy, gdy między partnerami istnieje głębokie porozumienie, mogą oni osiągnąć zamierzony efekt artystyczny.

Małgorzata Braunek jest aktorką filmową (grała także w Jugosławii), występuje także i w teatrze. I chociaż już od kilku lat oglądamy ją na scenie Teatru Narodowego w Warszawie, aktorka przed każdym występem ma wielką tremę. Na jednej z premier zapomniała nawet w pewnej chwili tekstu, czego publiczność na szczęście nie zauważyła.

O czym marzy? Wcale nie o rolach nowoczesnych dziewczyn, ale żeby grać w sztukach Szekspira.

KALINA GAWĘCKA

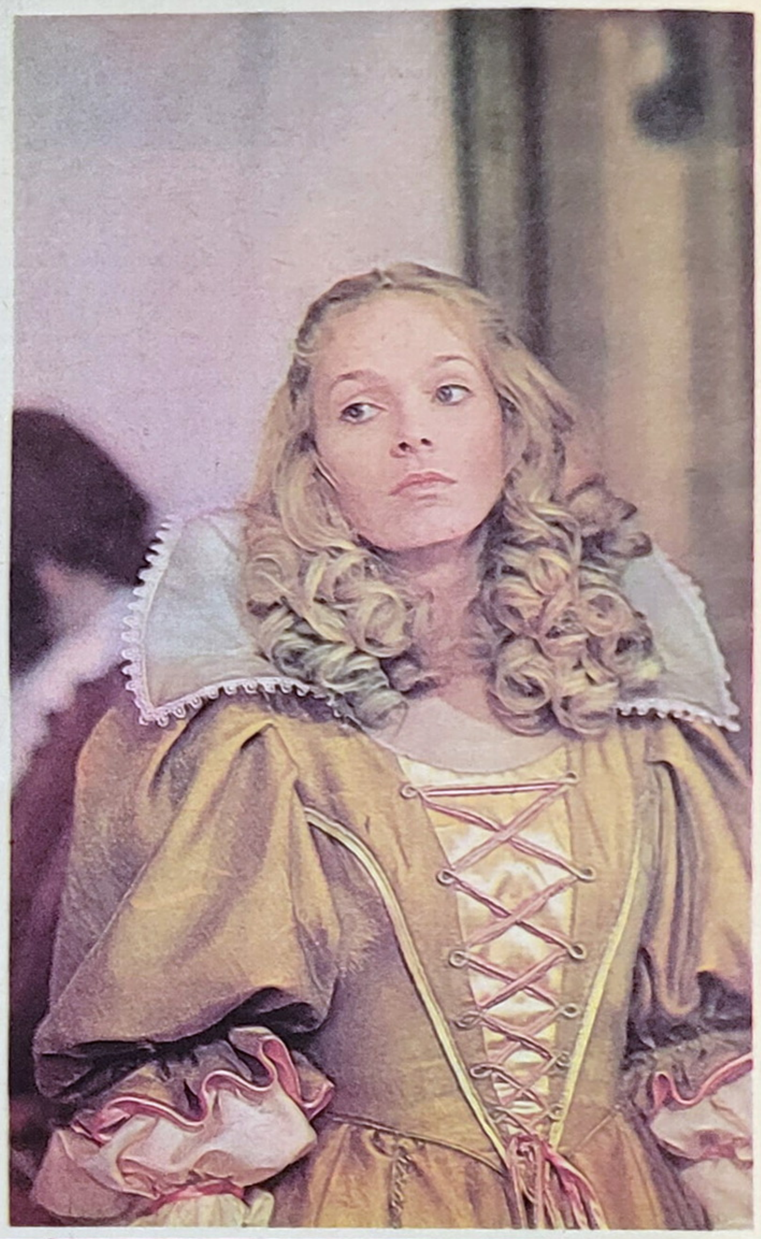

5 minut z MAGDĄ

KIEDYŚ bardzo lubiłam kasztany. Gdy byłyśmy małe, to razem z Hanką urządzałyśmy takie wyścigi — która więcej zbierze. Nie było to do niczego specjalnie potrzebne, ot tak, sztuka dla sztuki. Potem przestałyśmy się tym bawić — człowiek dorośleje, nie?!

Wielka „dorosłość" trwała do ubiegłego poniedziałku. Drużynowa powiedziała na zbiórce, że dobrze by było, gdybyśmy podjęły jakąś pracę zarobkową i zaproponowała właśnie zbiórkę kasztanów. Podobno są jakimś cennym surowcem, poszukiwanym. Fajnie! Zaraz na drugi dzień rozpoczęłyśmy „kasztanową bitwę". Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie było to przyjemne. Pogoda niczego, a ponieważ ze względu na to, że właśnie nasza edukacja dobiła do VIII klasy i rodzice mają z tego powodu mniej lub bardziej lekkiego „pietra" (cały czas powtarzają: ucz się! ucz się! nie łaź nigdzie! nie trać czasu!...) to i powód był przez nich nie do odrzucenia, że godzinkę lub półtorej łazimy po parku.

Po dwóch dniach doszłyśmy jednak do wniosku, że popołudniami zbyt wiele kasztanów nie da nam się uzbierać, bo... ubiegają nas w tym przedszkolaki wtedy, gdy my jesteśmy w szkole. Postanowiłyśmy... ubiec przedszkolaków i przerzuciłyśmy akcję na godziny ranne. Przed rozpoczęciem lekcji, przed śniadaniem jeszcze. Niektóre dziewczyny miały lekkie opory, ale jak Joanna zaczęła opowiadać (to nasza zastępowa i bardzo jej zależało, abyśmy dobrze wypadły), że taki poranny spacer robi świetnie na cerę, na linię, na włosy... to już dalej poszło bez protestów. Joanna jest największym klasowym autorytetem w sprawach dotyczących ciuchów, figury, fryzury. Ale to nieważne.

W okolicach ubiegłego czwartku zaczęłyśmy odnosić coraz większe sukcesy. Już nie wystarczały plecaki. Jolka i Beata skombinowały głęboki wózek dziecinny, którym odstawiałyśmy nasze „plony" do starej szkolnej szatni. W piątek przyszła drużynowa i... niemal ją zatkało. Widok był bowiem rzeczywiście efektowny — cała góra lśniących kasztanów. Sobotę przeznaczyłyśmy na ich sprzedaż. Niestety, okazało się, że żaden punkt skupu nie jest naszą ofertą zainteresowany. Butelki, makulatura... owszem, ale kasztany — nie!

Wczoraj zawiozłyśmy cały wózek do sąsiedniego przedszkola. Dzieciaki się cieszyły. Miło, ale było nam trochę głupio. W końcu to tak jak gdybyśmy „podebrały" im te kasztany i nie wiadomo po co. Trochę każda z nas wzięła do domu. Ja też. Rozsypałam je na tapczan, ale nie podobają mi się. Jestem zła. Na kasztany. Powinnam być zła na siebie, może na Joannę, bo zastępowa, może na drużynową... Chociaż, niby dlaczego? W końcu przecież każdej z nas wydaje się, że ma swój rozum, a jak przyszło co do czego, to żadnej nie przyszło do głowy, aby sprawdzić, czy te nieszczęsne kasztany są rzeczywiście komuś potrzebne. Całą batalię zorganizowałyśmy i... tak byłyśmy tym zajęte, że zapomniałyśmy o tym, aby pomyśleć. Taki niby drobiazg!

MAGDA

Trybuny odświętnie przystrojonego stadionu zapełniły się różnobarwnym tłumem widzów. Wesołe śpiewy i żartobliwe okrzyki rozbrzmiewały wokół wnosząc nastrój pogody i emocji. Wtem zerwał się huragan braw, bo oto na płytę boiska wbiegli piłkarze — bohaterowie mającego nastąpić sportowego widowiska — roześmiani, podnieceni i wdzięczni za serdeczne przyjęcie jakie im zgotowała publiczność.

Z BOCZNEJ TRYBUNY

WSPÓLNE ZWYCIĘSTWO

Jeszcze wymiana proporczyków i... gwizdek sędziego obwieścił wszem i wobec początek spotkania. **Aż trudno uwierzyć, ale do końca meczu nie rozległ się na trybunach ani jeden gwizd, nie padło ani jedno wulgarne słowo pod adresem zawodników i sędziów, tylko gwizdek sędziego spotkania wdzierał się w chóralny śpiew i gromkie okrzyki widowni dopingującej obie walczące drużyny. Widzowie czuli się współautorami widowiska.** A było na co popatrzeć! Atak sunął za atakiem, to na jedną bramkę, to na drugą; napastnicy, pomocnicy, obrońcy i bramkarze popisywali się nie tylko piłkarskim kunsztem, ale i dżentelmeńską postawą, jak na prawdziwych sportowców przystało. A każde ich zagranie i każdy koleżeński gest wobec przeciwnika kibice nagradzali burzliwymi brawami.

Patrząc na to piękne widowisko rosło moje serce — serce kibica. Myślałem wtedy, że jeśli tak jest tu, na międzyszkolnym stadionie w Zielonej Górze, na meczu „Żbiczków" z Nasielska i „United" z Węgier, że tak samo może i powinno być na każdym stadionie i placu sportowym. Jestem przekonany, że i Wy tak myślicie...

I choć wynik meczu brzmiał 5:4, to jednak z tego spotkania nikt nie wyszedł pokonany: wszyscy — zawodnicy i kibice — odnieśli wspaniałe zwycięstwo swoją KULTURĄ I SPORTOWĄ POSTAWĄ.

OBSERWATOR

PROPONUJEMY...

MINI-BASKET 2

W poprzednim odcinku pisaliśmy jak zbudować boisko i zorganizować drużynę. Dziś omówimy podstawowe zasady gry w mini-koszykówkę. Na wstępie krótko jednak o roli trenera i komisji sędziowskiej, bez której spotkanie odbyć przecież się nie może.

Trener jest kierownikiem i doradcą drużyny, jej opiekunem i przyjacielem. On ustala również zmiany zawodników w czasie gry. Pomocnikiem trenera w tych sprawach jest kapitan drużyny, wybierany spośród najlepszych pod każdym względem członków drużyny. Mecz prowadzi komisja sędziowska, składająca się z **sędziego,** który kieruje meczem; **sekretarza** zapisującego punkty, przewinienia osobiste i przekroczenia techniczne zawodników oraz **mierzącego czas gry.**

Spotkanie (mecz) składa się z dwóch połówek, po 20 min. każda, przedzielonych 10-minutową przerwą. Każda połowa dzieli się na dwa okresy gry po 10 min, rozdzielone 2-minutową przerwą. W ciągu trzech pierwszych okresów gry, zmiana zawodników odbywa się wyłącznie podczas przerw. W czwartym okresie gry może być przyznana każdej drużynie przerwa trwająca 1 min. dla dokonania zmiany zawodników. W mini-koszykówce obowiązuje zasada, że każdy zawodnik podczas trzech pierwszych okresów gry musi uczestniczyć w grze w ciągu co najmniej jednego okresu, ale nie więcej niż w ciągu dwóch okresów.

PRZEPISY TECHNICZNE

Sposób gry piłką w niczym się nie różni od gry w prawdziwą koszykówkę: piłka może być oddana, rzucona lub kozłowana. Uderzenie piłki pięścią lub nogą jest przekroczeniem technicznym.

Piłka „poza grą" znajduje się wtedy, jeśli dotknie podłoża, osoby (zawodnika) lub przedmiotu znajdującego się poza lub na liniach wyznaczających boisko, a także jeśli dotknie wsporników lub tylnej strony tablicy. Piłkę traci ta drużyna, której zawodnik dotknął jej ostatni. Grę wznawia zawodnik drużyny przeciwnej. Jeśli wyjście piłki „poza grę" spowodowało dwóch przeciwników — sędzia wznawia grę rzutem sędziowskim.

Ruch z piłką. Zawodnik nie może poruszać się niosąc piłkę lub — posiadając ją — wykonywać więcej niż dwa tempa (kroki). Zawodnik, który otrzymał piłkę, podczas gdy stoi (lub po otrzymaniu piłki zatrzymał się nie wykonując kroków) ma prawo do „piwotowania", co oznacza obrót wokół własnej osi na nodze, która zachowuje kontakt z podłożem. W czasie poruszania się z piłką, może „kozłować" — odbijając piłkę od podłoża, ale przy pomocy jednej tylko ręki.

Przepis „3 sekund" zabrania zawodnikowi pozostawać ponad 3 sek. w „Polu 3 sekund" przeciwnika, kiedy piłka znajduje się w posiadaniu jego drużyny. Pole to wyznaczają: linia końcowa boiska, linia rzutów wolnych i linie korytarza rzutów wolnych, które są również częścią „Pola 3 sekund".

Przepis „5 sekund" oznacza, że zawodnik, który wznawia grę (wrzuca piłkę) zza linii bocznej lub linii końcowej boiska, wykonuje rzut wolny oraz zawodnik prawidłowo atakowany przez przeciwnika nie może zatrzymać piłki dłużej niż 5 sekund od momentu jej otrzymania.

Przepis „30 sekund". Kiedy drużyna weszła w posiadanie piłki musi wykonać rzut na kosz przeciwnika w ciągu 30 sek. Po przekroczeniu tego czasu — grę wznawia drużyna przeciwna.

PRZEKROCZENIA I PRZEWINIENIA

Przekroczenie jest pogwałceniem przepisów technicznych, jak: uderzenie piłki pięścią lub nogą, przetrzymywanie, niesienie piłki w czasie poruszania się, kozłowanie obiema rękami itp. Natomiast przewinienie następuje w momencie zamierzonego kontaktu osobistego zawodnika z przeciwnikiem. Zawodnik odpowiedzialny za taki kontakt popełnia „przewinienie osobiste". Główne z nich to: blokowanie zawodnika bez piłki, za pomocą wyciągniętych ramion lub bioder i kolan, trzymanie, popychanie, uczepianie się, wchodzenie między przeciwników na siłę itp.

Przekroczenia techniczne najczęściej są niezamierzone, przypadkowe, wynikają z szybkości gry, błyskawicznie zmieniających się akcji lub niedoskonałego opanowania techniki gry. Przewinienia osobiste najczęściej wynikają z gry brutalnej, świadomego atakowania przeciwnika w sposób niezgodny z przepisami.

W każdej grze (nie tylko w mini-koszykówce) zawodnicy powinni składać dowody najwyższej poprawności i sportowej postawy, traktować swoich przeciwników jako kolegów w grze, starać się wykazywać im swoją wyższość w opanowaniu techniki gry a nie brutalną walką o zwycięstwo za wszelką cenę.

★

I to wszystko. Od dziś czekamy na wiadomości od Was, że już gracie w mini-basket. Chętnie wybierzemy się na mecz do drużyny, która pierwsza nas zaprosi. Do zobaczenia pod koszem! **(Rat)**

SPORTOWA GODZINA

Wprowadzona do programu szkolnego — zarządzeniem ministra oświaty i wychowania — dodatkowa jedna godzina sportu w tygodniu wzbudziła duże zainteresowanie. Kierowane do nas pytania świadczą jednak, że w wielu szkołach zabrakło wyczerpującej informacji: przez kogo i w jaki sposób „godzina sportu" jest organizowana. Wyjaśniamy więc, że jest to planowana dodatkowo, jedna godzina zajęć sportowych w tygodniu, niezależnie od dwóch obowiązujących godzin wychowania fizycznego oraz limitu godzin zajęć nadobowiązkowych przyznanych szkolnym klubom sportowym.

„Godzina sportu" może być realizowana we wszystkich lub tylko kilku oddziałach danej szkoły, a decyzję o jej wprowadzeniu podejmuje dyrektor na wniosek Szkolnego Klubu Sportowego, po konsultacji z Radą Pedagogiczną i Komitetem Rodzicielskim. „Godziny" planuje się w rozkładzie zajęć danego oddziału, a udział uczniów w ich realizacji jest obowiązkowy.

Kto będzie prowadził zajęcia w czasie „godziny sportu". Uczniowie, i uczennice, którzy ukończyli specjalny kurs i posiadają aktualne ligitymacje Młodzieżowych Organizatorów Sportu, bez angażowania nauczycieli wychowania fizycznego. Takie jest bowiem zarządzenie ministra oświaty i wychowania.

W wielu szkołach „godziny sportu" już są realizowane, a prowadzący zajęcia młodzieżowi organizatorzy sportu spisują się doskonale. Zajęcia są bardzo ciekawe i pożyteczne, bowiem służą doskonaleniu zdobytych w czasie lekcji wychowania fizycznego umiejętności, techniki gry w piłkę ręczną, siatkówkę a także w piłkę nożną.

Zwracamy się do młodzieżowych organizatorów sportu: piszcie do nas o swoich sukcesach i kłopotach. Możecie liczyć na naszą pomoc, a Wasze doświadczenia posłużą innym.

(Rat.)

Z historii sportu

Czy wiecie że...

Nowożytna lekka atletyka datuje się od XIX wieku. Pierwsze mistrzostwa krajowe odbyły się w Anglii w 1863 roku, a w 1880 roku powstał w Anglii najstarszy w Europie Związek Lekkoatletyczny.

★

W Polsce pierwsze zawody lekkoatletyczne odbyły się już w 1897 roku w Krakowie, natomiast pierwsze mistrzostwa Polski dla mężczyzn — w lipcu 1922 roku we Lwowie, a dla kobiet — we wrześniu 1922 roku w Warszawie.

★

Pierwsze mistrzostwa Europy w lekkiej atletyce odbyły się w roku 1934 w Turynie.

★

Za oficjalną datę powstania związku lekkoatletycznego w Polsce uznaje się dzień 11 listopada 1919 roku. Polski Związek Lekkiej Atletyki jest więc najstarszym związkiem sportowym w Polsce.

★

Nasi lekkoatleci pierwszy mecz międzypaństwowy rozegrali w sierpniu 1922 roku w Pradze. Oprócz reprezentacji Polski w meczu brały udział drużyny Jugosławii i Czechosłowacji. Zwyciężyła Polska przed Czechosłowacją i Jugosławią.

★

W 1924 roku 14 polskich lekkoatletów wystąpiło po raz pierwszy na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu, ale bez sukcesów. Najlepszy z Polaków Antoni Cejzik zajął 11 miejsce w dziesięcioboju.

ale nigdy nie zapominała, że jest dziewczyną. Od czasu do czasu zjawiała się na podwórku w modnej sukience i wyczekująco spoglądała na chłopaków. Chłopcy rozumieli jej dziewczyńską słabość i powściągliwie chwalili nową kreację. Sukienki przykrawała Wika z zeszłorocznych turystycznych toalet matki i szyła na starej psującej się stale maszynie do szycia.

Reperowali tę maszynę bracia Dorinowie.

Bracia byli bliźniakami, ale zupełnie niepodobnymi do siebie. Może to i dobrze. Jednakowe bliźniaki podobno stale się kłócą, zaś blondas Staś i szczupły ciemnowłosy Boria żyli w idealnej zgodzie. Nawet zainteresowania mieli wspólne. Najbardziej lubili książki o technice i o robotach. W domu mieli mechanicznego kota do łapania myszy imieniem Merkury. Kot wprawdzie nie złapał ani jednej myszy, za to rzucał się pod nogi gościom i zapamiętale gryzł ich buty metalowymi szczękami.

Paczkę uzupełniał pierwszoklasista Johnny. Właściwie nie był nawet pierwszoklasistą. Miał iść do szkoły dopiero na jesieni, na razie zaś był w przedszkolu u starszaków. Ale ponieważ ci, którzy skończyli czwartą klasę, nie czekając jesieni, uważają się za piątoklasistów, więc i Johnny rozumował podobnie.

Imię Johnny było zmyślone. Nazywał się Żeńka. Żeńka miał jednak pewną małą słabość — nie wymawiał litery „Ż". Zamiast „żelazo" wychodziło mu „dżelazo", zamiast „żuk" — „dżuk". O sobie mówił „Dżeńka". A że „Dżeńka" to żadne imię, przerobili go więc na Johnniego.

Przedszkole i jego regulamin Johnny traktował z lodowatą pogardą. Od dawna umiał czytać, wiedział, jak zbudowane są rakiety kosmiczne i jak wymieniać korki i

nie cierpiał różnych tam zabaw w kóleczko i „czarnego luda".

Do przedszkola Johnny przychodził w obszarpanych teksasach z kombojem na siedzeniu i w spłowiałej koszulce trykotowej. Teksasy zamiatały frędzlami podłogę i kurzyły jak motocykle na wiejskiej ulicy. Wychowawczynię doprowadzało to do histerii, ale Johnny nie tracił zimnej krwi. Po pierwsze — wychowawczyni była jego cioteczną siostrą, po drugie — nie zniżał się nigdy do kłótni z kierownictwem. Gdy życie stawało się już nie do zniesienia, po prostu brał pod pachę „Bajki braci Grimm" i szedł ze swojej grupy do maluchów. Maluchy patrzyły na Johnniego jak rekruci na sławnego wodza.

Do maluchów Johnny miał słabość. Oczywiście były to jeszcze ciemniaki, nie z głupoty jednak, tylko z winy młodego wieku. Prócz tego maluchy nie zadzierały nosa. A jak umiały słuchać bajek!

Maluchy patrzyły w Johnniego jak w tęczę i biegły do niego z każdym problemem. Owej niedzieli, gdy Wikingowie popełnili pierwsze przestępstwo, dwóch pięcioletnich gońców pobiegło do Johnniego.

A Johnny pobiegł do swoich przyjaciół.
Sierożka, Wiktoria, Staś i Borys siedzieli na swym ulubionym miejscu — na płocie, otaczającym podwórko. Siedzieli i nudzili się. Johnny z chmurną miną wdrapał się do nich i oznajmił:

— Samochin znowu rozrabia.

— Co takiego? — natychmiast spytał Sieroża.

C.d.n.

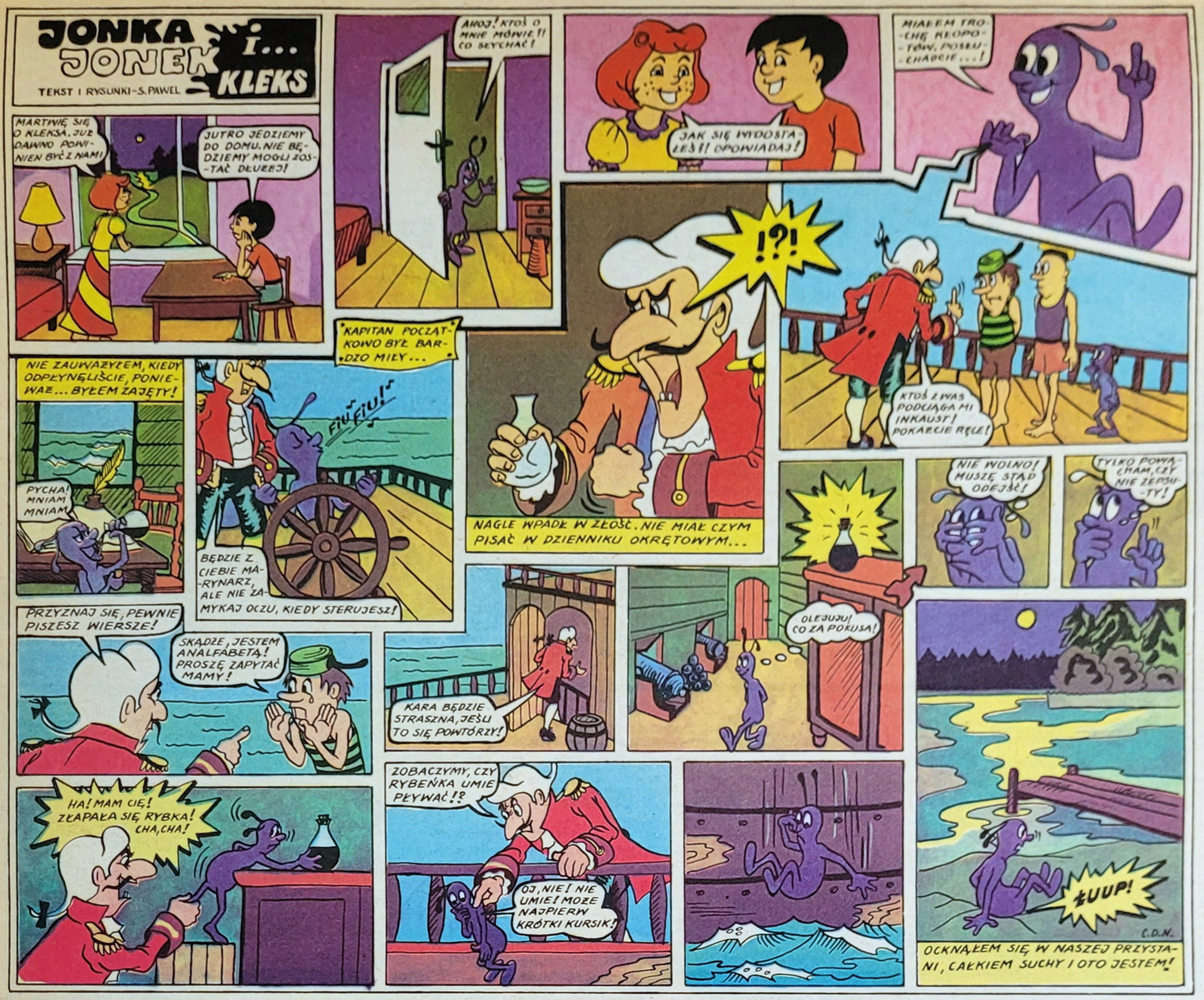

ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Teresa Droga-Kupczyńska, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodoreczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchelska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. nacz. 21-15-61

Sekr. redakcji 29-21-42
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, ul. Wilcza 46, 00-679 Warszawa, Telefon dyrektora 28-99-77. Biuro Reklam i Ogłoszeń, ulica Wilcza nr 62, telefon 28-97-82. Prenumerata miesięczna zł 19,50, kwartalna zł 58,50. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-839 Warszawa, do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa-Książka-Ruch" ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa konto PKO nr I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-839 Warszawa.

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Nr indeksu — 35039. zam 7687 W-56

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

TELEFON ZAUFANIA

WROCŁAW. Już od siedmiu lat czynny jest we Wrocławiu „Telefon Zaufania". Przez całą dobę specjaliści lekarze, a ostatnio również prawnicy, udzielają rad, w sytuacjach niejednokrotnie niezwykle dramatycznych.

Spośród 50–60 rozmów, przeprowadzanych każdego dnia, najwięcej związanych jest ze zdrowiem. Niemały procent dotyczy praw i obowiązków rodziców oraz dzieci, seksuologii, a także wychowania i nauczania. **(wm)**

MOST NA DNIE JEZIORA!

KOSZALIN. Płetwonurkowie koszalińskiego klubu „MARES" oraz akademickiego klubu „KALMAR" z Gliwic dokonali rewelacyjnego odkrycia: na dnie jeziora Bobęcin w powiecie Miastko trafili na głębokości około 10 metrów na ślady bardzo dobrze zachowanego drewnianego mostu. Łączył on grodzisko słowiańskie, leżące na brzegu jeziora, z grodziskiem na wyspie. Długość mostu wynosiła około 400 metrów, a szerokość około 3,5 metra. Archeologowie szacują powstanie mostu na wiek IX–XI. **(wm)**

„SATURN" URATOWAŁ GRECKICH MARYNARZY

GDYNIA. W dniu 25 września na greckim tankowcu s/s „ELEFTERIA", transportującym olej sojowy, a znajdującym się o sto mil od wybrzeży Afryki, nastąpił wybuch kotła parowego.

Na ratunek pośpieszył trawler gdyńskiego „Dalmoru" m/t „SATURN".

Polski trawler przyjął na swój pokład ocalałą 30-osobową załogę z greckiej jednostki i kontynuował akcję ratowniczą płonącego statku. Wrak po zupełnym stłumieniu ognia odholowany zostanie do najbliższego portu. **(wm)**

„DOLNA ODRA" RUSZA...

SZCZECIN. Na budowie elektrowni „DOLNA ODRA" koło Gryfina dobiega końca montaż trzeciego turbozespołu. Budowniczowie przewidują, że już w połowie października można będzie przystąpić do prób wodnych kotła trzeciego bloku.

W drodze ze Związku Radzieckiego znajduje się już również generator dla zespołu czwartego.

Równocześnie z budową przemysłową trwa budowa obiektów socjalnych dla załogi „DOLNEJ ODRY". **(wm)**

WŁADYSŁAW KRAPIWIN

UCIECZKA ROGATYCH WIKINGÓW

1

TŁUM. DANUTA WAWIŁOW
ILUSTR. BARBARA RUTKOWSKA

O Wikingach opowiedział mi Serioża Woloszyn, poważny i spokojny dwunastoletni chłopak. Mieszkałem wówczas w małym miasteczku pod Moskwą, a Sieroża był moim sąsiadem.

Nasza ulica nosiła nazwę Obronnej. Dawnymi czasy, gdy po polach harcowały dzikie hordy, stała tu twierdza – nieduża, drewniana, z ośmiokątnymi basztami. Potem twierdza spłonęła, pozostał tylko wał i wąwóz, który niegdyś był fosą.

Ulica była szeroka, lecz spokojna. Samochody nią nie jeździły, gdyż ulicę zamykał wąwóz.

Rozumiecie sami, że było to wymarzone miejsce do meczów piłki nożnej.

Sieroża wracał co dzień do domu późnym wieczorem i cicho postękując smarował w kuchni jodyną podrapane nogi.

– Cóż to za wojny prowadzicie? – odezwałem się kiedyś. – Codziennie wracasz pokiereszowany!

Sieroża nie bez trudu usiłował polizać podrapany łokieć.

– Też mi coś... – odparł. – To mają być wojny?... To dziecinna zabawa... W zeszłym roku...

I liznąwszy wreszcie łokieć, Sieroża opowiedział mi tę historię.

Pod koniec czerwca pozostało ich w mieście z całej paczki tylko pięcioro. Reszta, jak na złość, rozjechała się na kolonie, do krewnych, nad morze, zaś jeden wyruszył nawet w tajgę z ojcem geologiem.

Natomiast paczka Tolka Samochina pozostała w pełnym składzie. Czy to był przypadek, czy umowa, nie wiadomo – w każdym razie pozostało ich szesnastu, nie licząc różnych tam maluchów.

Między paczką Sierożki i paczką Tolka nigdy nie było prawdziwej zgody. Trudno powiedzieć z czyjej winy. Wszyscy jednak jednogłośnie utrzymywali, że Samochin to chłopak zaczepny i złośliwy. Ze wszystkimi zaczynał i nigdy nikomu nie wybaczył urazy. Sierożce nie mógł zapomnieć, że ten nie uznawał jego władzy i zamiast mu się podporządkować, założył własne wojsko. Co prawda wojsko Sierożki było ani szczególnie liczne, ani waleczne, lecz kiedy stawiało się w komplecie, mogło się obronić. A teraz jak na złość wszyscy się porozjeżdżali i rób co chcesz!

Ci, co pozostali, mieszkali na jednym podwórku. W piętrowym domku – chłopcy, zaś w małym, w głębi podwórza – Wiktoria, czyli po prostu Wika. Uczyła się z Sierożką w tej samej klasie.

Rodzice Wiki podróżowali po świecie. Nie zdobywali zaśnieżonych szczytów, nie szukali złóż rudy i nie odkrywali na pustyni starożytnych miast – po prostu podróżowali. Każdy urlop spędzali to nad Morzem Czarnym, to nad Wołgą, to w Leningradzie. A żeby Wika miała opiekę, zapraszali na lato siostrę ojca, ciocię Ninę.

Ciocia Nina była chudą i smutną kobietą o długim nosie. Od dawna nie było to dla nikogo tajemnicą, że jest ciężko chora. Wszyscy wiedzieli o tym, kiedy Wiktorii nie było jeszcze na świecie. Lecz gdy ktoś próbował dowiedzieć się o jej niedomaganiach czegoś konkretnego, ciocia Nina wolno i z wyrzutem podnosiła oczy na impertynenta. „Jak pan może – mówiło jej spojrzenie – dręczyć biedną kobietę, której życie wisi „na włosku" i pytającym robiło się wstyd.

Aby nikt ani na chwilę nie zapomniał o jej cierpieniach, ciocia Nina oznajmiała regularnie co cztery i pół minuty „Ach, jak mnie boli głowa!"

Konieczność zajmowania się Wiką była w oczach cioci najwyższą ofiarą. Oznajmiała o tym bez ogródek: „Spodziewam się, że ludzie docenią kiedyś, jakiego dokonałam bohaterskiego czynu".

Być może rodzice Wiki doceniali to, byli jednak daleko, Wika natomiast wcale tego nie doceniała.

– Uik-to-ria-a! – co wieczór krzyczała z angielska ciocia Nina. – Czas do domu! Słyszysz? Wszystkie normalne dzieci już śpią! Uik... (ach, jak mnie boli głowa!)... toria! Nie każ mi znów zażywać waleriany!

– Ach, więc ja jestem nienormalna? – szeptała Wika w jednej ze swych kryjówek. – No to fajnie, to możemy się jeszcze pobawić. Nie, chłopaki?

Jak każda morowa dziewczyna, Wika grała z chłopakami w piłkę nożną, umiała się bić, świetnie nurkowała,